

Yardley Cathy

Swaty 04

Romantyczna Rose

Rose Parker przekroczyła próg Ośrodka Kultury Wietnamskiej „Au Co” z pewnym niepokojem. Od dawna już nie odwiedziła podobnej instytucji. Zaraz... Ile mogła mieć lat, kiedy ostatni raz ją tu przyprowadzono? Nie więcej jak cztery, a zatem nie zaglądała tu od blisko ćwierćwiecza. Mimo to jednak pamiętała, że jej ówczesne doświadczenia wcale nie były przyjemne - długo prześladowało ją wspomnienie mrowia ludzi mówiących w niezrozumiałym języku, ścian obwieszonych plakatami i transparentami, których treści nie umiała odczytać, i pochylających się nad nią twarzy o skośnych oczach, które przewiercały ją na wylot, jakby próbując odgadnąć, kim może być ta dziewczynka/ Wszyscy zdawali się pytać bez słów: Co ty tu robisz? Szczerze mówiąc wtedy nie umiałyby im odpowiedzieć.

Dziś natomiast wiedziała dokładnie, że zjawiała się w tym ośrodku, aby skłonić babcię do zaprzestania prób swatania jej z każdym kawalerem pochodzenia wietnamskiego, jakiego tylko starszej pani udało się znaleźć w stanie Nowy Jork. Musiała więc, choćby miała pęknąć, za wszelką cenę nauczyć się tu jak najwięcej o wietnamskiej kulturze i tradycjach. Zanim weszła do sekretariatu dyrekcji, wzięła głęboki oddech i przywołała na usta obowiązkowy uśmiech. Nacisnęła klamkę i zajrzała do środka.

- Czy mogę pani w czymś pomóc? - spytała siedząca za biurkiem ciemnowłosa kobieta.

- Myślę, że tak. - Rose uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Rozmawiałam przez telefon z panem Paulem... Young?

- Duong - poprawiła sekretarka. - Tak, to nasz dyrektor.

- Umówiłam się z nim dziś na rozmowę.

- Ależ oczywiście, proszę bardzo. - Kobieta podniosła się z krzesła i podprowadziła Rose pod drzwi gabinetu. - Paul, ta pani jest z tobą umówiona.

- Tak. Zapraszam *do środka*.

Rose zawahała się przez chwilę na progu, jeszcze raz odetchnęła i stanowczym krokiem weszła do małego, lecz nadzwyczaj schludnie urządzonego gabinetu; Szybkim spojrzeniem omiotła estetycznie oprawione obrazy i stojącą w kącie donicę z bambusem, po czym skoncentrowała wzrok na siedzącym za biurkiem mężczyźnie.

- Miło mi panią poznać, panno Parker. - Na jej powitanie wstał, a w jego czarnych oczach błysnęły wesołe iskierki.

Od razu zauważyła, że był tylko trochę wyższy od niej i mniej więcej w jej wieku. Mógł zbliżyć się do trzydziestki albo niedawno ją przekroczyć. Nosił luźne spodnie khaki i biały wełniany sweter. Lśniaco czarne, krótko przystrzyżone włosy nie zasłaniały wydatnych kości policzkowych.

Wprawdzie przyglądał się jej badawczo, lecz robił wrażenie bezpośredniego, co bardzo ułatwiało nawiązanie rozmowy. Wskazał Rose krzesło po drugiej stronie biurka i zagaił:

- Przepraszam, że nie mogłem dłużej rozmawiać z panią przez telefon, ale prowadziłem akurat zajęcia. Miło mi, że nawet w weekend znalazła pani czas, aby nas odwiedzić. W czym moglibyśmy pani pomóc?

Skorzystała z zaproszenia i usiadła, kurczowo zaciskając palce na torebce. Dlaczego się tak, idiotko, denerwujesz? - złała w myśli samą siebie, a głośno wyjaśniła:

- To trochę skomplikowana sprawa, ale, krótko mó-

więc, chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o wietnamskiej kulturze. Nie przestawał się uśmiechać, choć zrobił nieco zdziwioną minę.

- No, to trafiła pani pod właściwy adres - oznajmił. -Czego konkretnie chciałaby się pani dowiedzieć i co w tej kulturze fascynuje panią najbardziej?

- Och, to bez znaczenia. Interesuje mnie właściwie wszystko.

- Wszystko? - Odchylił się do tyłu i splatając ręce na piersiach, dodał z rozbawieniem: - O, to może długo potrwać!

- Mnie się nie spieszy. - Wzruszyła ramionami, ale po chwili przypomniała sobie warunek postawiony przez babcię i szybko dodała: - W każdym razie nie bardzo.

- Przepraszam, że pytam, ale czy te wiadomości potrzebne są pani na użytek własny, czy też zbiera pani materiały do artykułu? - Zachował uprzejmy ton, ale dało się wyczuć, że próbuje dociec, skąd nagle u półkrwi Azjatki taki przyływ zainteresowania „wszystkim”. - Jest pani Wietnamką, prawda?

- Pół Wietnamką, a pół Amerykanką - odpowiedziała z westchnieniem. Ponieważ tylko skinął głową, pospieszyła z dalszymi wyjaśnieniami, obracając w palcach pasek torebki i szukając słów, które najdokładniej wyjaśniłyby, po co tu przyszła.

- Właściwie to... Obiecałam babci, że dowiem się czegoś więcej o moich wietnamskich korzeniach. Zawarłam z nią taką umowę...

- Jak to umowę? - Ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Wiem, że to brzmi głupio - przyznała. - Proszę mnie źle nie zrozumieć, ja naprawdę kocham swoją babcię, ale

ona czasem potrafi doprowadzić człowieka do obłądu!

Parsknął z rozbawieniem, więc i Rose się uśmiechnęła. Jego reakcja ośmieliła ją do dalszych zwierzeń. Okazało się to łatwiejsze, niż myślała.

- Widzi pan, ona koniecznie chce wydać mnie za mąż. Najpierw podsuwała mi tylko numery telefonów różnych młodych ludzi poleconych przez jej przyjaciółki z Nowego Jorku. Potem zaczęła zapraszać mnie z mamą na obiady, na których, niby przypadkiem, zjawiali się ci rzekomo fantastyczni kandydaci. Nie mam pojęcia, jak udawało jej się ich przekonać, żeby tłukli się przez dwie godziny z miasta tylko po to, żeby zjeść ze mną obiad! - Potrząsnęła głową ze znaczącym uśmiechem. - Przestałam w końcu odpowiadać na jej zaproszenia, a wtedy wie pan, co zrobiła? Dała któremuś z tych bubków *mój* adres, więc któregoś dnia warował pod moimi drzwiami z olbrzymim bukietem!

- Dobrze, ale w jaki sposób *my* możemy pani w tym pomóc? - Nawet nie próbował ukryć uśmiechu.

-Widzi pan... - zawahała się, czy powiedzieć mu wszystko, ale kiedy już otworzyła usta, nagromadzony w niej żal natychmiast znalazł upust. - W końcu miałam już dość, nie wytrzymałam i pokłóciłam się z babcią. I wie pan, co mi oznajmiła?

- Tak? - Pochylił się do przodu, jakby nie chciał uronić tej informacji.

- Otóż oznajmiła mi, że chciałyby koniecznie, abym wyszła za Wietnamczyka, bo jeśli zostanę żoną białego, moje dzieci nigdy nie poznają swoich wietnamskich korzeni. Wtedy, na swoje nieszczęście, spytałam, czy dałaby mi wreszcie spokój, gdybym przyrzekła, że dowiem się wszystkiego o wietnamskiej kulturze, a ona przystała na taki układ. Dlatego tu przyszedłam...

Wygodniej usiadł w fotelu, ale wciąż spoglądał na nią przyjaźnie.

- Więc chce pani się u nas uczyć tylko po to, aby babcia przestała organizować pani randki w ciemno?

- Otóż to właśnie - wyznała szczerze, co nie przyszło jej ani w połowie tak trudno, jak przypuszczała.

- A zatem nie chciałaby pani wyjść za Wietnamczyka? - wycedził podejrzenie przesłodzonym tonem. - Tylko tak pytam, z ciekawości.

- Prawdę mówiąc, nie myślałam o tym - palnęła bez zastanowienia. - Nigdy dotąd nie chodziłam z Azjata...

Nagle urwała, bo zdała sobie sprawę, jak mogło to zabrzmieć, szczególnie w uszach Azjaty. Spróbowała więc jakoś złagodzić wydźwięk tego stwierdzenia.

- Widzi pan... Tam, gdzie mieszkam, nieczęsto spotyka się Wietnamczyków. To znaczy, nie chcę przez to powiedzieć, że nie ma takiej możliwości...

- Powiedzmy, jest, ale ograniczona, prawda? - uściślił." Źrenice Rose zwięzły się ze złości.

- A dlaczego pan mnie tak wypytuje?

- Panno Parker, zawsze będzie pani mile widzianym gościem na wszystkich naszych imprezach - oznajmił tonem znacznie chłodniejszym niż na początku, kiedy witał ją w swoim biurze, jednocześnie podnosząc się z krzesła. - Ale w tym, o co pani prosi, nie mogę pani pomóc.

- Nie może pan, czy nie chce? Wbił w nią spojrzenie czarnych oczu.

- Mam niewiele czasu, więc pomagam głównie ludziom, którzy naprawdę kochają kraj swego pochodzenia i chcą go lepiej poznać - oświadczył z naciskiem, otwierając jej drzwi. Co innego, gdyby panią naprawdę interesował ten temat, ale jeżeli chodzi pani tylko o to, żeby

ugłaskać babcię i nie dać się wmanewrować w zamążpójście... Rose podniosła się z wahaniem, kompletnie zbita z tropu.

- Nie chciałam pana obrazić - próbowała tłumaczyć. - Pana pomoc naprawdę byłaby mi potrzebna. Czy są jeszcze inne ośrodki, gdzie uzyskałabym podobne informacje?

- Nie mam pojęcia. Może w mieście? - Wzruszył ramionami. - Takie wiadomości można również znaleźć w książce telefonicznej albo w Internecie.

- Pan naprawdę poczuł się urażony? - spojrzała mu w twarz z niedowierzaniem.

- Nie tyle urażony, co zawiedziony - sprostował, nie spuszczać z niej oczu. - Tylko niech pani ostrożnie prowadzi samochód, panno Parker.

*

- Cześć, Paul! - przywitał go Long, jeden, z organizatorów corocznego Święta Wiosny. Pracował dziś do późna i został, dopóki Paul nie zabrał się do zamykania drzwi na noc. - Kim jest ta laska, która dziś u ciebie była? Wolontariuszka?

- Chciałbyś! - roześmiał się Paul, a widząc urażoną minę kolegi, dodał ze śmiechem. - Aż takiego szczęścia to ty nie masz!

W myśli zaś dorzucił, że żaden z nich nawet nie mógłby dostąpić tego zaszczytu, gdyż ta panienka nigdy dotąd nie chodziła z Azjata. Przez całe popołudnie huczały mu w głowie te słowa i ton, jakim je wypowiedziała.

- Przyszła tu, aby uzyskać pewne... informacje. I tyle.

- Niezłe nogi! - pokręcił głową Long. - Tylko buźkę miała jakąś dziwną. Czy ona jest nasza?

- Pół na pół.

- Tak też myślałem. A jakich informacji potrzebowała?

- No, wiesz, chciała się czegoś dowiedzieć o kraju swo-

jego pochodzenia. Powrót do korzeni i tak dalej. - Wzruszył ramionami.

- Aha, banan? - Long komicznie przewrócił oczami.

- Pamiętasz chyba, że nie używamy tutaj takich wyrażień! - zareagował natychmiast Paul.

Long podniósł ręce w obronnym geście.

- Przepraszam, stary - tłumaczył. - Przecież wiesz, że nie miałem nic złego na myśli.

- Gdzie jak gdzie, ale tu nie chcę słyszeć rasistowskich odzywek! - przestrzegł go Paul. Westchnął przy tym, bo sam w życiu sporo się ich nasłuchał, zwłaszcza od kolegów ze studiów. Eufemizmy „banan” i „ptyś” stanowiły aluzję do czegoś, co z wierzchu jest żółte, a w środku białe.

Nawet jeśli nie był zachwycony powodem odwiedzin Rose, doskonale rozumiał jej motywację. Sam bowiem wychował się na rolniczej prowincji stanu Nowy Jork, gdzie był jedynym Azjatą w promieniu dwudziestu mil. Wiedział więc, jak przemożne bywa w takich wypadkach pragnienie asymilacji. Nie chciał jednak, aby w kierowanej przez niego placówce upowszechniały się stereotypy na ten temat, gdyż miała ona służyć rozszerzaniu horyzontów, a nie ich zawężaniu.

Long nie chciał drażnić tej drażliwej kwestii, więc odchrząknął i zmienił temat.

- No więc... Prace przy organizacji Święta Wiosny posunęły się naprzód. Idziemy jak burza. Spodziewamy się gości nawet z Connecticut.

- Odwaliłeś kawał dobrej roboty! - pochwalił go Paul. - Jeśli tylko uda się nam przynajmniej tak jak w zeszłym roku, będziemy musieli to oblać.

- Tylko tym razem musisz przyjść z dziewczyną! - mrugnął do niego Long.

- Żeby tak miał na to czas...

- Bo za ciężko pracujesz - stwierdził kategorycznie Long. - Gdybyś poderwał fajną dziewczynę, na pewno szybciej wracałbyś do domu.

Sam roześmiał się z własnego dowcipu, co Paul skwitował tylko pobłażliwym uśmiechem. Od lat wolontariusze najdawniej pracujący w ośrodku zamęczali go pytaniami na temat jego spraw sercowych.

Rzeczywiście, od dwóch lat, czyli odkąd podjął się prowadzenia ośrodka, nie spotykał się z nikim na stałe, natomiast niewielu ludzi znało szczegóły życia, jakie prowadził w San Jose, kiedy jeszcze pracował w branży komputerowej. Wścibscy współpracownicy nie wiedzieli, że raz był już zaręczony, więc uspokajał ich zapewnieniem, że „na dniach” zacznie rozglądać się za dziewczyną. Na razie jednak na pierwszym miejscu w hierarchii ważności stawiał pracę w ośrodku.

Mimo to nie mógł zapomnieć o Rose, bo kiedy tylko przypominał sobie o jej wizycie, niemal widział dołeczek powstający w jej policzku, gdy się uśmiechała i dziwny blask w jej spojrzeniu, od którego robiło mu się gorąco. Szkoda, że nie oczekiwała od niego czegoś więcej niż tylko parawanu ochronnego przed wścibską babcią. Zresztą może to nawet i lepiej, bo po co mu dziewczyna, która nigdy nie chodziła z Azjata?

- Rose!

- Słucham, babciu? - odpowiedziała posłusznie Rose, wzdychając ukradkiem nad miseczką zupy, gdyż zapowiadało się na dłuższe przesłuchanie. Przy jednym końcu kuchennego stołu siedziała jej babcia, przy drugim zaś matka.

- Musisz przyjść do mnie na obiad! - Jak zwykle, babcia wygłosiła tę sentencję takim tonem, że zabrzmiała nie jak zaproszenie, lecz jak rozkaz.
- Chyba rozmawialiśmy już o tym, prawda? - zaprotestowała Rose, nie zważając na błagalne spojrzenie matki. -Kogo tym razem chcesz mi wcisnąć?

Babcia z urażoną miną wzruszyła ramionami.

- No, może przyjdzie kilkoro moich znajomych...

- Mamo, czy naprawdę nie da się czegoś z tym zrobić? -Rose zwróciła się bezpośrednio do matki, która tylko bezradnie potrząsała głową.

- Mamusiu, przecież wiesz, co Rose o tym myśli... -spróbowała nieśmiało wstawić się za córką, na co babcia wyrzuciła z siebie potok wietnamskich słów z szybkością karabinu maszynowego, podczas gdy matka Rose, zachowując kamienną twarz, spokojnym tonem odpowiadała również w tym języku. Nawet nie podniosła głosu.

Rose mogła tylko obserwować, jak dyskutantki przerywały się nawzajem argumentami, niczym piłką tenisową. Była zła, że nie rozumie z ich konwersacji ani słowa. Zauważyła tylko, że babcia uniosła się bardziej niż zwykle, a mama wyglądała na zmęczoną. Zrobiło się jej z tego powodu przykro, bo przecież wcale nie chciała wciągać jej w swoje problemy i zmuszać, by opowiadała się po którejkolwiek ze stron.

W końcu babcia jeszcze raz wzniosła ręce do nieba w geście najwyższego oburzenia ostentacyjnie wstała od stołu i wyszła z kuchni.

- Przepraszam, mamo - sumitowała się Rose - ale ona naprawdę potrafi wyprowadzić człowieka z równowagi. Słyszałaś, że podesłała mi jakiegoś bubka pod same drzwi? Byłam tylko w koszulce i spodniach od dresu, jak to po

domu, a kiedy otworzyłam, na progu stał facet koło czterdziestki, w garniturze i z wielkim bukietem róż w łapie!

- Ja już nie raz ją prosiłam, żeby dała sobie z tym spokój! - jęknęła matka. Po kłótni z babcią lekki akcent w jej mowie jakby się nasilił. - Tylko, widzisz, ona się martwi...

- Czym znowu się martwi? - parsknęła Rose. - Chyba nie tymi głupstwami o dzieciach, które nigdy nie poznają swoich korzeni? Przecież to tylko idiotyczny pretekst!

- No, może mniej niż myślisz. - Posłała córce uspokajający uśmiech i czule odgarnęła jej włosy z czoła. Dopiero teraz Rose zwróciła uwagę, że wciąż jeszcze zachowała wiele ze swojej dawnej urody, mimo widocznego zmęczenia i wiecznych zmartwień. - Widzisz, ona ma trochę racji.

- To dlatego tak na ciebie krzyczała?

- Obwinia mnie za to, w jaki sposób ułożyłaś sobie życie. - Widząc, że Rose otwiera usta, by zaprotestować, uciszyła ją gestem ręki. - Nie bój się, to jeszcze nie było najgorsze. Ona przede wszystkim jest zazdrosna o twoją drugą babcię Irenę.

-Aha, rzeczywiście, przed moim urodzeniem mieszkaliście z tatusiem u jego matki - przypomniała sobie z westchnieniem Rose. Babcię Irenę, kobietę wysoką, tęgą i despotyczną, pamiętała jak przez mgłę. - Sporo od was wymagała i zawsze wtrącała swoje trzy grosze. Musiała mieć na was duży wpływ.

- To za mało powiedziane. Moja matka nadal nie może mi wybaczyć, że nadałam ci wyłącznie amerykańskie imiona. W ogóle uważa, że za bardzo się zamerykanizowałaś, a jeśli dotąd nie wyszłaś za mąż, to możesz popełnić ten sam błąd co ja i wybrać kogoś spoza naszej wspólnoty.

- Ależ mamó, przecież to rasizm w czystej postaci! -oburzyła się Rose.

- Trudno dyskutować z kimś, kto wciąż wypomina mi rozwód.

Rose spuściła oczy i wbiła wzrok w opróżnioną do połowy miseczkę zupy. Popychając łyżką pływające w rosole gniazdka z zastygłego jajka, wymamrotała: , - To przecież nie twoja wina... Ani to, że się rozwiodłaś, ani to, jaka jestem.

- Wiem, wiem... - Uśmiechnęła się z wdzięcznością matka, poklepując rękę Rose. - Jednak pod pewnymi względami babcia ma rację. Jedynym, czego żałuję, jest to, że nie nauczyłam cię ani języka, ani kultury wietnamskiej. Po prostu chciałam, żebyś się szybciej zasymilowała.

- I chyba mi się udało! - Rose z uśmiechem pogłaskała matkę po ramienia

- Pamiętasz, że byłam kapitanem zespołu cheerliderek i przewodniczącą kółka matematycznego?

Matka mruknęła potakująco i wymierzyła jej żartobliwego prztyczka w nos.

- Wszystko jedno, gdybym musiała jeszcze raz przez *tir* przejść, dobrze by było... - urwała i podniosła się z krzesła, by wyciągnąć z lodówki własnoręcznie wykonane ciia *gio*, czyli sajgonki z mięsem. Ponieważ Rose nie jadła tradycyjnych wietnamskich potraw, gdyż jak twierdziła, źle jej służyły, dodała też specjalnie przyrządzoną dla niej sałatkę. - Widzisz, ona za wszelką cenę pragnie utrzymać nasze więzi rodzinne.

Poza tym szczerze cię kocha, tylko że reprezentuje już inną obyczajowość. To chyba możesz jej wybaczyć, prawda?

Rose przytaknęła, więc matka przeszła do sedna sprawy. - No więc, gdybyś mogła być tak miła i przynajmniej spróbować...

W tym momencie do kuchni wkroczyła babcia.

- Czy macie zamiar wreszcie usmażyć te naleśniki,

czy chcecie przegadać całą noc? - rzuciła uszczypliwie.

Matka potrząsnęła głową i burknęła coś po wietnam-sku, na co babcia znów przysiadła się do stołu, przyprawiając Rose o mrowienie w kręgosłupie.

- I to businessmen! - palnęła bez żadnych wstępów.

- Babciu, ci wszyscy, których mi raiłaś, byli businessmenami!

- Ale ten jest przystojniejszy i młodszy niż tamci. Ma dopiero trzydzieści pięć lat! - entuzjasmowała się babcia. -A jak podobało mu się twoje zdjęcie!

- To ty posłałaś mu moje zdjęcie? - wykrzyknęła z przerażeniem Rose.

Oczami wyobraźni zobaczyła już swój wizerunek na odpowiedniej stronie internetowej, opatrzony podpisem: Poszukuję Wietnamczyka stanu wolnego, zgłoszenia tylko osobiście. Dzięki Bogu jej babcia nie umiała zbyt dobrze posługiwać się komputerem! -Ależ, babciu Mai...

- Tak, oczywiście, ty wiesz wszystko najlepiej, prawda? Pewnie myślisz, że złapiesz jakiegoś wysokiego, przystojnego blondyna, co? Akurat! - Pokiwała jej palcem przed nosem.-Już ja wiem, kto się najlepiej nada dla ciebie. Tylko solidny, zasiedziały Wietnamczyk!

Rose dostrzegła, jak za plecami babci matka daje jej rozpaczliwe znaki i bezgłośnie prosi: Bądź miła... Westchnęła więc i spróbowała negocjacji.

- Wiem, babciu, chodzi ci o to, że nie znam naszej przeszłości, naszych obyczajów i nie będę umiała wyrobić w moich przyszłych dzieciach świadomości narodowej, prawda? - Nie zważając na niedowierzające prychnięcie babci, perorowała dalej: - Postaram się zebrać jak najwięcej wiadomości na ten temat. Są przecież książki, a ile ciekawych materiałów można znaleźć w Internecie...

- Tere-fere! - Babcia postukała palcem w blat stołu. - Nie wszystkiego można się nauczyć z książek. To nie jest takie proste, żeby przeczytać sobie książkę i od razu poznać naszą historię!

- W Ameryce, babciu, wszyscy uczą się w ten sposób - wycedziła Rose przez zaciśnięte zęby.

- Żaden Wietnamczyk w to nie uwierzy! - odparowała babcia. -

Najlepszym przykładem jest pani Lailu Huynh, przewodnicząca Związku Kobiet Wietnamskich. Nie znam jej osobiście, ale korespondujemy ze sobą. Od dwudziestu pięciu lat mieszka w Nowym Jorku, ale co roku odwiedza Sajgon, nawet w czasach, kiedy musiała przekradać się przez Tajlandię. - Babcia zaakcentowała wagę tych słów podniesionym głosem.

- A ja, nawet gdybym chciała wprowadzić cię do jej domu i przedstawić własnym znajomym, nie mogłabym tego zrobić, bo nie wiedziałabyś, jak wietnamska kobieta powinna się ubierać ani co i jak jeść. Mało tego, nie potrafiłabyś nawet rozmawiać z nią po naszemu!

- Mam przez to rozumieć, że się mnie wstydzisz? - natarła Rose. Babcia wyglądała na zaskoczoną. Rysy jej złagodniały.

- Chcę przez to powiedzieć - wyjaśniła już łagodniejszym tonem - że nie znasz naszych zwyczajów, a odpowiedni mąż wytłumaczyłby ci, jak masz postępować. Nauczyłby tego także wasze dzieci.

- A skąd wiesz, czy w ogóle będę miała dzieci? - odburknęła Rose, ale widząc niepokój na twarzy babci, szybko dodała: - Ale jeśli nawet, sama też potrafię im wszystko wytłumaczyć.

- A pamiętasz naszą umowę? - podsunęła babcia z dziwnym błyskiem w czarnych oczach. - Może byśmy ją trochę zmieniły?

Rose wiedziała, co oznacza ten podchwytliwy ton i szelmowski uśmiech. Babcia najwidoczniej miała już konkretne plany.

- A co proponujesz? - sondowała ostrożnie.

- Pani Lailu zaprosiła mnie na przyjęcie pod koniec tego miesiąca.

Obiecuj mi, że pojedziesz tam ze mną i porozmawiasz z nią. Jeśli i ona będzie tego samego zdania co ja, wyjdiesz za Wietnamczyka.

- Ależ, babciu! - oburzyła się Rose.

- Mamo! - karcąco rzuciła jej matka.

- No, dobrze już, dobrze! - Babcia szybko wycofała swoją propozycję, najwidoczniej spodziewając się, że zostanie odrzucona. Rose jednak miała się na baczności, gdyż wiedziała, że starsza pani umie się świetnie targować. Kiedy Rose pomagała jej przy kupnie samochodu, o mało nie zemdląła, słysząc handlowe 'argumenty' babci. - Umówmy się więc, że przez miesiąc będziesz spotykać się z Wietnamczykiem.

- Ja się tak nie bawię, babciu! - przestrzegła ją Rose. - Czy ta kobieta ma poddać mnie egzaminowi? A skąd ja wiem, czy z góry nie ustalicie, że mam oblać ten sprawdzian? O, nie, nic z tych rzeczy!

Babcia zamilkła na chwilę, w skupieniu marszcząc czoło i ściągając brwi. Po jakimś czasie najwidoczniej coś ją olśniło, bo oczy jej znów zabłyśły.

- Nie bój się, będziesz musiała tylko ubrać się w nasz strój narodowy, jeść nasze potrawy i wiedzieć, jak się która nazywa, no i odpowiedzieć na kilka pytań. Jeśli pani Lailu orzeknie, że dostatecznie znasz nasze tradycje, dam ci spokój.

- Na zawsze? - upewniła się Rose, zauważyła bowiem chytry uśmiešek babci.

- Powiedzmy, na jakiś czas... - Babcia zrobiła niewinną minkę.

- Na rok.

Babcia usiłowała protestować, ale słysząc ostrą uwagę rzuconą przez matkę Rose - przystała na jej warunki.

- Niech ci będzie rok, ale pamiętaj, że jestem już stara i mogę nie doczekać...

- Akurat, przeżyjesz nas wszystkich! - ucięła sucho Rose. - Dobrze więc, ustalmy to raz jeszcze. Jeśli pojedę z tobą na ten obiad, ubiorę się w wietnamski strój narodowy, będę znała nazwy potraw i odpowiem poprawnie na kilka pytań, przez najbliższy rok przestaniesz zawracać mi głowę?

Babcia skinęła potakująco. Rose jednak drażyła dalej: -1 mamie też?

Obie kobiety spojrzały na nią ze, zdziwieniem, więc wyjaśniła:

- Nie chcę, żebyś wierciła mamie dziurę w brzuchu, że nie podsuwa mi wietnamskich absztyfikantów ani że źle mnie wychowała. Przyjmę twoje warunki, jeśli przyrzekniesz mi, że nie będziesz robić jej wymówek z tych powodów - zażądała całkiem poważnie.

- Ależ, Rose, po co... - próbowała oponować jej matka.

- Mamo, wiesz przecież dobrze, jak się czuję w takich sytuacjach.

- No, dobrze - sapnęła ciężko babcia. - Umowa stoi!

Rose uśmiechnęła się z satysfakcją, bo już w szkole dobrze sobie radziła w negocjacjach i umiała liczyć. Miesiąc to mnóstwo czasu! Zdaży przygotować sobie odpowiednią sukienkę, nauczać się odróżniać tradycyjne wietnamskie dania i poznać najważniejsze fakty z historii tego kraju. W końcu to nic trudnego.

- Może zjem trochę tych sajgonek, dobrze, mam? - zaproponowała z promiennym uśmiechem. Chciała jakoś uczcić perspektywę całego roku wolnego od babcinych swatów.

- Och, to cudownie! - uradowała się matka, dostawiając dodatkowy talerz. Natomiast babcia otaksowała ją dokładnie z góry na dół, stwierdzając z przekąsem:

- Oj, żebyś czasem nie przytyła! - I zaraz pogрузyła się w rozmowie z córką.

Rose tylko westchnęła. Doszła bowiem do wniosku, że rodzina, czy to wietnamska, czy jakakolwiek inna, potrafi czasem doprowadzić człowieka do szału.

Paul podniósł oczy znad biurka i omal nie zemdlał z wrażenia, gdy stwierdził, że znów ma przed sobą Rose. Tym razem ubrała się w inny kostium* z krótszą spódniczką, i dobrze, bo jej nogom niczego nie można było zarzucić.

- No, muszę powiedzieć, panno Parker - zagał, odchylając się na oparcie krzesła - że nie spodziewałem się ujrzeć pani ponownie. Czyżby poszukiwania się nie powiodły?

- Przede wszystkim chciałabym pana przeprosić - odpowiedziała, czym zupełnie zbiła go z tropu.

Zapatrzył się w nią z niedowierzaniem, bo tego się nie spodziewał, tak samo zresztą, jak jej odwiedzin. Wyglądała na osobę, która dobrze wie, czego chce. Owszem, chętnie udzieliłby jej pomocy, podobnie jak każdemu, kto pragnął lepiej poznać kulturę kraju, z którego pochodzi. Szkopuł jednak w tym, że ona wcale nie chciała zgłębiać tu wiedzy, a tylko wymknąć się matrymonialnym siłom własnej babci. A na to, jak to zrobić, mogła wpaść i bez niego.

To właśnie zamierzał jej powiedzieć, gdyby tylko upewnił się, po co znów się u niego zjawiała.

- Za co chce mnie pani przeproszać? - warknął. - Czy za to, że chce się pani posłużyć moim ośrodkiem, aby ukrócić zapędy rodziny?

- Przede wszystkim za to, co powiedziałam o chodzeniu z Azjatami - oświadczyła zdecydowanie, choć na policzki wypełzł jej ceglasty rumieniec. - Bardzo mi przykro z tego powodu. Natomiast jeśli chodzi o pana ośrodek, to chyba ma pan rację.

-Chyba?

- Mimo wszystko sędzę, że mam ważne powody. Pan nie zna mojej babci! Na ten argument mógł się tylko uśmiechnąć, bo sam miał dwie, Dobrze wiedział, jaki nacisk potrafi wywierać tradycyjna wietnamska rodzina, zwłaszcza jeśli chodziło o sprawy męsko-damskie. Uważał jednak, że to nie usprawiedliwia jej zachowania.

Poza tym jej niefortunne wyznanie na temat randek z Azjatami wciąż kłuło go jak zadra. Co więcej, kiedy znów ją zobaczył, ta dziwna uraza jeszcze wzrosła.

- Zgoda, przyjmuję przeprosiny - oświadczył, wbijając w nią uporczywe spojrzenie. Ona jednak nie ustępowała.

- Widzę, że mi pan przebaczył, ale nadal nie zamierza mi pomóc - wypaliła, przygryzając dolną wargę.

Podziwiał jej wytrwałość, ale nie od razu dał się udobruchać.

- Niby dlaczego miałbym to robić? Z tych samych powodów? - Nie czekając na odpowiedź, dokończył: - Jeszcze raz powtórzę pani to, co powiedziałem wcześniej. Istnieje wiele innych źródeł informacji...

- Ale ja nie umiem uczyć się z takich źródeł! - przerwała. - Jestem typowym wzrokowcem i na studiach lepiej

szły mi te przedmioty, w których posługiwano się prezentacją wizualną niż te, gdzie trzeba było korzystać tylko z podręczników.

- Przypuszczam, że była pani zdolną studentką - zaryzykował.

- Owszem, miałam dobre oceny, ale znałam swoje słabe strony i kiedy coś mnie naprawdę przycisnęło, bez wahania korzystałam z korepetycji.

- Więc teraz przeżywa pani kryzys? - podchwycił.

- W pewnym sensie tak, gdyż będę musiała zdać egzamin z kultury wietnamskiej, a zależy mi, aby wypaść jak najlepiej.

- Egzamin? Z... kultury wietnamskiej? - Uniósł brwi. Musiał przyznać, że go zaintrygowała. Żądania tej dziewczyny wydały mu się dziwne, lecz budziły ciekawość. - I co chce pani przez to osiągnąć?

- Lepiej niech pan nie pyta, bo odpowiedź się panu nie spodoba.

- Dlaczego więc miałbym pani w tym pomóc? Uśmiechnęła się wyzywająco.

- Ponieważ jest pan miłym, uczynnym człowiekiem, a ja byłabym panu mocno zobowiązana!

Wobec takich słów nie mógł już dłużej zachować powagi i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- A co jeszcze, poza moją altruistyczną naturą, mogłoby mnie do tego skłonić?

- Oczywiście mogłabym panu zapłacić... - Z lekkim westchnieniem sięgnęła do torebki.

- Nie o to chodzi! - Zamachał ręką, dając jej do zrozumienia, żeby nie wyciągała pieniędzy. - Problem polega na tym, że nadal widzi pani w naszym ośrodku nie instytucję, w której można pogłębiać wiedzę, lecz pretekst dla uniknięcia niechcianej randki. Nie na tym przecież polega nasza rola!

- A na czym, do jasnej cholery? Macie być policją kulturalną? - zniecierpliwiła się Rose. - Nie wystarczy, że w ogóle chcę się czegoś dowiedzieć?

Cóż, szczerze mówiąc, Paul sam nie wiedział, dlaczego, ale Z jakiegoś powodu uważał, że to nie wystarczy. Może zdążył się już do niej uprzedzić albo też był pewien, że kiedy uda się jej spacyfikować babcię, ponownie pograży się w błogiej niewiedzy. Niewykluczone też, że wciąż nie mógł jej zapomnieć nieszczęsnej uwagi o tym, że nie spotyka się z Azjatami.

- Przychodzą tu do nas ludzie - zaczął uspokajającym tonem - którzy chcą, aby ich dzieci poznały kraj swego pochodzenia, narodowe obyczaje i tradycje, oraz niedawni imigranci z Wietnamu, którzy chcą nauczyć się angielskiego. Niektórzy przyjeżdżają tu z drugiego końca hrabstwa, bo jesteśmy jedyną placówką w stanie Nowy Jork, gdzie mogą uzyskać pomoc. Czy wobec tego nie uważa pani, że trochę szkoda marnować czasu na kogoś takiego jak pani? Na w pełni zasymilowaną dziewczynę, która akurat ma kaprys poudawać Wietnamkę?

Rose poczuła się tak, jakby wymierzył jej policzek. Od razu wstała z krzesła i zapytała chłodno:

- Pan oczywiście nie wie, co to znaczy nie pasować do żadnego środowiska? Nie jestem w pełni Wietnamką ani białą Amerykanką, więc gdzie właściwie przynależę? Ciekawe, czy pan choć raz doświadczył takiego uczucia?

Zaniemówił z wrażenia. To już nie była ta sama zabawna, pewna siebie osobka, która tydzień temu pojawiła się w jego biurze. Najwidoczniej trafił w czułe miejsce.

- Bawi pana, że próbuję udowodnić babci swoje przywiązanie do tradycji, aby nie dać się wmanewrować w zaaranżowane małżeństwo? - nacierała z furją. - A jakie mam inne wyjście? Mam jej powiedzieć: Odczep się ode

mnie, bo nie jestem ani Wietnamką, ani Amerykanką? Jeśli zna pan lepsze rozwiązanie, chciałabym je usłyszeć!

Wstał i uniósł ręce w uspokajającym geście. Sprawa okazała się poważniejsza niż przypuszczał, a jego święte oburzenie - całkiem nie na miejscu.

- Przepraszam, nie powinienem był kwestionować motywów pani postępowania - próbował się usprawiedliwić.

- To ja nie powinnam tu przychodzić! - Zdecydowanym ruchem sięgnęła po płaszcz. - Są jeszcze inne miejsca, gdzie mogę uzyskać potrzebne mi informacje.

- To prawda, ale dość daleko stąd, o kilka godzin jazdy samochodem. A kiedy ma pani zdawać ten... egzamin? - Zastąpił jej drogę do drzwi. - Może jednak mógłbym pomóc?

- A może niepotrzebna mi pańska pomoc? - odparowała. - Gdybym chciała, żeby ktoś włąził z butami w moje życie, wystarczyłoby mi zwrócić się do babci.

Paul gorączkowo poszukiwał słów, aby odeprzeć jej zarzuty i znaleźć argumenty, by ją zatrzymać.

-Już raz panią przeprosiłem i więcej nie będę. Serdecznie pani współczuję i sędzę, że jednak mógłbym pomóc. - Wyraz jej twarzy świadczył, że nie potrafi się oprzeć jego znie-walającemuśmiejchowi i że zastanawia się, czy warto uparcie obstawać przy swoim. On tymczasem wyciągał rękę do zgody. - No więc jak? Zostaniemy przyjaciółmi?

Na początku miała taką minę, jakby chciała go wyminąć. Jednak po namyśle z westchnieniem ujęła jego dłoń i mocno uścisnęła.

Nie od razu rozluźnił uścisk. Przyjemnie było poczuć pod palcami jej miękką, ciepłą skórę. Zapadła niezręczna cisza. Dopiero po_cJiwili Rose cofnęła rękę.

- No więc... Czego przede wszystkim chciałaby pani się nauczyć? - zapytał oficjalnie.

Westchnęła i odliczając na palcach, zaczęła wymieniać:

- Przede wszystkim muszę skądś skombinować odświętny wietnamski strój narodowy. Powinnam też nauczyć się nazw tradycyjnych potraw, umieć je rozpoznawać i orientować się choć trochę w naszej historii.

Z wrażenia aż zamrugał oczami.

- Czyżby chciała pani wystąpić o wietnamskie obywatelstwo?

- Nie, aż tak źle to ze mną nie jest - przyznała z wymuszonym uśmiechem.

- Wiem, że to dziwnie brzmi, ale naprawdę muszę podołać wyzwaniu. To dla mnie bardzo ważne.

- A dużo ma pani czasu na te przygotowania?

- Miesiąc.

- Hm, miesiąc to znaczy cztery weekendy... Wydaje mi się, że taki schemat będzie najbardziej pani odpowiadać. Myślę, że poza Świętem Wiosny, które przypada za dwa tygodnie, uda mi się wygospodarować trochę czasu, aby udzielić pani czegoś w rodzaju korepetycji. I co pani na to?

Przytaknęła z wyraźną ulgą.

- Tu, w ośrodku? - zapytała.

- Jeśli pani sobie życzy. - Wzruszył ramionami.

- Zgoda.

- PorJytam koleżanek, gdzie mogłaby pani kupić tradycyjny wietnamski ubiór. - Zanotował coś w kalendarzyku. -A jeśli pani będzie grzeczna, przygotuję dla pani najbardziej charakterystyczne potrawy.

Teraz już uśmiechnęła się naprawdę szczerze i serdecznie.

- To pan umie gotować?

- Owszem, umiem robić wiele rzeczy. - A w myślach dodał, że niektóre z tych umiejętności chętnie by jej zaprezentował, i to jak najszybciej. Zaraz jednak odgonił od

siebie kuszące obrazy, łajając się ostro, że skoro w pewnym sensie Rose jest jego uczennicą, nie wypada mu nawet myśleć o takich sprawach. - Może być sobota o trzeciej? Przy odrobinie szczęścia wymiga się pani w ten sposób od jakiejś niechcianej randki.

I od każdej innej, dodał w myśli. Z jakichś powodów nie miał nic przeciwko ingerencji w jej życie towarzyskie. W końcu to ona pierwsza do niego przyszła!

Znów zajrzała do swojego kalendarzyka i potakująco skinęła głową.

- Dobrze, może tak być. - Po krótkim namyśle dodała: - Zostały nam trzy weekendy. Myśli pan, że to wystarczy?

Paul musiał przemyśleć tę kwestię. Gdyby tylko nie przeszkadzały mu te natrętne, choć miłe wizje...

- Wystarczy dla nabrania ogólnej orientacji w temacie -podjął tymczasem obojętnym, tonem. - Poza tym podam pani listę lektur, więc kiedy nie będziemy się spotykać, sama pani zdobędzie pewne niezbędne informacje, a za miesiąc zda egzamin pozytywnie.

Znów się uśmiechnęła.

- Wspaniale! - ucieszyła się szczerze i spojrzała na niego wyczekująco.

No tak... Wciąż zasłaniał sobą drzwi.

Odsunął się z ociąganiem, bo nie chciał, żeby za szybko stąd wyszła.

- Może chciałaby pani obejrzeć sobie nasz ośrodek? - zaproponował więc, a po krótkim namyśle dodał: - Albo od razu zacznijmy zajęcia.

Chciał wspomnieć coś na temat wspólnej kolacji, ale wolał nie ryzykować. Nadal pamiętał, jakim tonem zwierzyła mu się, że nigdy nie spotyka się z Azjatami.

- Przykrojni, ale mam dziś wieczorem trochę roboty. Widzi pan, pracuję na zlecenie, a muszę jeszcze poszperać

w Internecie i napisać recenzję... Natomiast w przyszłą sobotę przyjdę na pewno.

- Świetnie. I mów mi po imieniu. A skoro jesteś tak zajęta, sam przyniosę odpowiednie książki.

Przez chwilę myślał, że rzuci mu się na szyję. Szczerze mówiąc, nie miałby nic przeciwko temu.

- Paul, to naprawdę cudowne - zawołała. - I mam nadzieję, że następnym razem pójdzie nam lepiej, prawda?

- Też mam taką nadzieję - powtórzył w ślad za nią. Odprowadzał ją wzrokiem, kiedy wychodziła, nieznacznie kołysząc biodrami.

I obym nie żałował tej decyzji, pomyślał, zamykając drzwi gabinetu.

Dochodziła ósma wieczorem. Rose siedziała przy tym biurku już od trzeciej po południu, nic więc dziwnego, że ledwo patrzyła na oczy.

Zacznie wyc, jeśli będzie musiała przyswoić sobie jeszcze bodaj jedną informację.

- Spróbujmy od początku - poprosiła, rozcierając skronie. - No więc ten książę, jak mu było?

- Lac Long Quan - podsunął jej Paul.

- Aha, ten który wyszedł z morza? Przytaknął.

- A potem poślubił księżniczkę z gór?

- Zgadza się. - Okraślił pochwałą szerokim uśmiechem. - Nazywała się Au Co i według różnych źródeł została albo nie została wydana za chińskiego najeźdźcę. Legendy nie są pod tym względem zgodne.

- W każdym razie zadała się z tym Lac Long Quanem - próbowała podsumować Rose, zerkając do notatek. - A potem zaczęła... znosić jajka?

- Zgadza się. Sto, co do jednego! - uzupełnił Paul. - I mało tego. Z każdego jajka wylągł się syn!

Rose jeszcze raz przebiegła wzrokiem tekst dawnego podania.

- A później księżę odszedł od niej, bo stwierdził, że skoro on wyszedł z morza, a ona z gór, to zupełnie do siebie nie pasują? - upewniała się, spoglądając na Paula. - Nie mógł pomyśleć o tym, zanim poszedł z nią do łóżka?

- Pewnie doszedł do tego wniosku dopiero po jakimś czasie! - roześmiał się, szczerze ubawiony. Jeszcze nie zdarzył mu się uczeń, który w ten sposób traktowałby legendy.

- Więc dlaczego *jej* dzieci zostały z nią i nazwano ich Mo-ungami, podczas gdy *jego* synowie zgarnęli całą śmietankę i zostali uznani za przodków wszystkich Wietnamczyków?

- Przecież ja nie napisałem tego mitu, tylko ci go powtórzyłem. - Wzruszył ramionami.

- Dobrze więc, podsumujmy: rozbita rodzina, sami synowie, zakaz odwiedzin. Myślę, że to zapamiętam. - Przetarła oczy, czując bolesne napięcie karku. - Co robimy dalej?

- Teraz myślę, że należy ci się odpoczynek - stwierdził stanowczo.

Do Rose nie od razu dotarły jego słowa, gdyż zaglądała już do następnej książki, ubolewając nad jej objętością.

- Słucham?

- Widzę, że jesteś już zmęczona. - Z uśmiechem zamknął notatnik. - Zawsze, bierzesz się do wszystkiego z takim rozmachem?

Dopiero gdy Paul to zauważył, zdała sobie sprawę, że rzeczywiście zeszywniały jej barki. Niezgrabnie spróbowała je rozetrzeć.

- Owszem, w szkole zawsze lubiłam wgryzać się w szczegóły. Na studiach także.

-Tak?

Odchyliła się na oparcie krzesła i przymknęła oczy, więc nie zwróciła uwagi na szelest kroków Paula. Zdażyła się przyzwyczać, że cały czas krążył wokół biurka, z czego wywnioskowała, że mimo pozornej powściągliwości bynajmniej nie należy do flegmatyków. Oprzytomniała dopiero wtedy, kiedy poczuła na ramionach dotyk jego dłoni.

- Nie bój się, nie mam złych zamiarów - uspokoił ją, czując, że drgnęła. - Widzę tylko, że pewnie strasznie boli cię kark i barki. Mógłbym je rozmasować.

Rose poczuła dziwne ciepło w dołku, ale mimo bólu spróbowała wzruszyć ramionami.

- „Dokąd płynie twoja łódź?” - zacytowała, co go rozśmieszyła

- No, na studiach musiałaś nieźle zakuwać. A można wiedzieć, co studiowałaś?

- Socjologię... Oj! - jęknęła, gdy ręka Paula trafiła na szczególnie napięty splot mięśni. - To nie były ciężkie studia. Prawdę mówiąc, nie mam najlepszej pamięci.

- Więc jak sądzisz, ile z tego, o czym dziś mówiliśmy, zapamiętasz po egzaminie?

Jego dotyk działał jak balsam. Przykre napięcie mięśni zaczęło powoli ustępować, teraz jednak zastąpiło je inne uczucie. Od dłoni Paula promieniowało przyjemne ciepło, które łagodziło ból, ale wywoływało w jej ciele dziwny niepokój.

- No, nie przypuszczam, żeby ta romantyczna legenda szybko wyleciała mi z głowy. Natomiast cała reszta to dla mnie po prostu skrócony kurs historii.

- Ale to także i twoja historia! - wyszeptał Paul tuż przy jej uchu. - Nie widzisz różnicy?

Zacisnęła powieki jeszcze mocniej.

- A ty? - spytała z westchnieniem. - Czy historia naszego narodu ma jakiś wpływ na twoje życie i czy tak na co dzień myślisz o Au Co i Lac Long Quanie?

Roześmiał się, mocniej zaciskając palce na jej ramionach.

- Wydaje mi się, że mieszkając w Ameryce, trudno na co dzień zachować świadomość historyczną. Wiem, co mówię, bo wychowałem się w Pleasant Valley.

Od razu otworzyła oczy. Tuż nad sobą zobaczyła jego uśmiechniętą twarz odwróconą „do góry nogami”.

- Naprawdę?

- Tak, dopiero później przeprowadziliśmy się z całą rodziną do Kalifornii. Wielu moich krewnych do dziś mieszka w San Jose. Jeśli już mówimy o szoku kulturowym, ciekawe, jak nazwać to, co ja przeżyłem, przechodząc ze szkoły, gdzie uczyły się przeważnie białe dzieci, w czysto wietnamskie środowisko? Co prawda, w domu zawsze rozmawialiśmy po wietnamsku, ale to było... coś zupełnie innego!

Zauważyła, że Zmienił się ton jego głosu, a dotyk złagodniał. Lekki masaż w połączeniu z kojącą melodią jego słów odurzał ją jak narkotyk. Znow przymknęła oczy, wsłuchując się w to, co mówił.

- Pozwoliłem, by to środowisko mnie wchłonęło. Zajadałem się potrawami, o których dotąd tylko słyszałem od matki. Bawiłem się tylko z wietnamskimi dziećmi. Buddyjski Nowy Rok stał się dla mnie nagle bardzo ważnym świętem. Odnalazłem wtedy poczucie przynależności do grupy, a pomogła mi w tym znajomość naszej historii i towarzystwo ludzi, którzy też ją znali.

Zdjął rece z jej barków. W ostatniej chwili ugryzła się w język, aby nie zaprotestować. Kiedy otworzyła oczy,

zobaczyła, że przysunął sobie bliżej krzesło i pochylił się nad nią z uśmiechem.

- Dlatego właśnie chciałbym wiedzieć, czy materiał, który opanowałaś, wykorzystasz tylko po to, żeby zdać swój egzamin, czy po prostu przyda ci się do czegoś w życiu? - rozważał. - Bo w moim przypadku znajomość historii własnego narodu i towarzystwo rodaków spowodowały, że po raz pierwszy w tym kraju poczułem się u siebie.

Może wskutek zmęczenia poczuła w gardle ucisk, a oczy zaszyły jej mgłą.

Paul natychmiast to zauważył i skwapliwie zapytał:

- Dobrze się czujesz?

- Oczywiście, to tylko zmęczenie. - Przetarła oczy, by nie zdradziły jej łzy. Rzeczywiście była zmęczona, ale poza tym dała się ponieść emocjom. - Pewnie miałaś wspaniałe dzieciństwo.

- Jasne, że raz bywało lepiej, raz gorzej, ale generalnie było super - potwierdził, nie spuszczać oczu z jej twarzy. - A u ciebie?

Musiła zastanowić się nad odpowiedzią.

- Moi rodzice bardzo mnie kochali - wykrztusiła wreszcie. - Rozwiedli się dopiero, kiedy poszłam na studia.

Współczucie widoczne w jego oczach ośmieliło ją do dalszych zwierzeń.

- Tylko że ja nigdzie nie czułam się u siebie - stwierdziła. - Babcię Mai poznałam dopiero, gdy skończyłam osiem-jiaście lat. Przyjechała wtedy do nas i choć słabo mówiła po angielsku, głównie na mnie krzyczała.

Dlatego wolałam przebywać u rodziny ojca, gdzie uważano mnie za białą Amerykankę. Tymczasem babcia, ledwo przyjechała, a już zabrała mnie na obchody buddyjskiego Nowego Roku.

- I jak ci się to podobało? Z tych pierwszych wietnamskich świąt Rose pamiętała tylko tłok, hałas i natrętnie spojrzenia gapiów, więc zgodnie z prawdą wyznała:

- Nie cierpiałam go! Nie rozumiałam, co ludzie mówią, a zresztą nikt nie zwracał się do mnie bezpośrednio, za to wszyscy przyglądali mi się natarczywie. Kiedy w końcu jeden chłopak się do mnie odezwał, chciał koniecznie wiedzieć, jakich ras jestem mieszańcem. Skończyło się na tym, że wylądowałam u McDonalda, a mamie zapowiedziałam, że nigdy więcej w czymś takim nie wezmę udziału. I słowa dotrzymałam, bo do tej pory ani razu nie dałam się zaciągnąć na takie uroczystości.

- Rozumiem cię - stwierdził takim tonem, jakby mówił to szczerze. Potem wyciągnął rękę i delikatnie, pieszczotliwie, pogładził ją po policzku.

- Paul... - głos jej się załamał.

- Byłaś zawsze bardzo samotna, prawda? - raczej stwierdził, niż zapytał, wpatrując się w nią hipnotyzującym spojrzeniem.

Przez chwilę miała wrażenie, że weźmie ją w ramiona, ale on zaraz odsunął się od niej i z uśmiechem, jakby nic nie zaszło, zaproponował:

- Więc za tydzień o tej samej porze, dobrze? Skinęła głową i byle jak pozbierała książki i notatki.

Pomagał jej przy tym, a ona uważała, by go nie dotknąć.

- Może chciałabyś częściej się ze mną spotykać? - zapytał, podając jej płaszcz. I nie pozostawiając jej czasu na odpowiedź, dorzucił: - Jakby co, najlepiej zadzwoń.

- Nie chciałabym za bardzo cię angażować - bąknęła z wahaniem.

- Ależ to dla mnie żadne poświęcenie! - Spoglądał na

nią ciepło, więc znów zagapiła się w jego twarz. Niemal natychmiast się zreflektowała.

- No więc do zobaczenia jutro... - Gwałtownie zamrużyła powiekami i zaraz się poprawiła: - To znaczy za tydzień. Tak, za tydzień - powtórzyła, zapinając płaszcz. - Dobranoc!

Nawet kiedy już wyszła na zewnątrz, czuła na swoich ramionach ciepło rąk Paula.

*

Godzinę później, już u siebie w domu, Paul niespokojnie krążył po kuchni. Nie mógł się opanować, podobnie zresztą jak po każdym spotkaniu z Rose.

Wydawała się taka samotna i zagubiona, że chętnie utuliłby ją w ramionach i scałował każdą łzę... Szczerze mówiąc, chciałby zrobić o wiele więcej, ale nie był pewien, czy w tym przypadku wszystkie okoliczności działałyby na jego korzyść.

Nalał sobie szklankę mrożonej herbaty i po raz pierwszy od mniej więcej dwóch lat własne mieszkanie wydało mu się dziwnie puste. Dziwne, ile już czasu upłynęło, odkąd zerwał zaręczyny z Phoung... Od tamtej pory nie związał się z nikim na dłużej, nie licząc sporadycznych randek.

Składał to na karb swojej pracy w ośrodku, gdzie spędzał wiele godzin, ale zdawał sobie sprawę, że jedną z głównych przyczyn takiej sytuacji był brak kontaktu z kobietami.

Ona wygląda na taką samotną, myślał, z westchnięciem, niem spoglądając w stronę telefonu. Właściwie dawno już nie dzwonił do rodziny...

Sięgnął więc po aparat i wybrał odpowiedni numer.

- Słucham? - odezwała się po wietnamsku jego matka.

- Mama? Cześć, tu Paul.

- Ach, Paul! - Po drugiej stronie dał się słyszeć gwar rozmów. - Jak miło, że dzwonisz! Właśnie tłumaczyłam ojcu, że tak długo nie dajesz znaku życia, bo pewnie jesteś bardzo zajęty. Cp u ciebie, wszystko w porządku? Uśmiechnął się, słysząc te same pytania co zawsze.

- Pewnie, mam tylko kupę roboty, bo Święto Wiosny tuż-tuż. Pewnie przeszkodziłem w kolacji?

- Nie przejmuj się tym, jest u nas tylko twój brat z żoną i małym Michaeliem. Ma przyjść jeszcze twoja siostra, ale ona już wkrótce urodzi. Na szczęście doktor zapewnia, że wszystko przebiega jak należy. Kiedy do nas wpadniesz?

- Niech no tylko ten dzidzius się urodzi - zapewnił ją Paul. - A jak się czuje tato?

- No, wiesz, jak to on. Epktorowi nie podoba się jego poziom cholesterolu, mój zresztą też. Radzi, żebyśmy nie jedli czerwonego mięsa, ale byliśmy ostatnio u znachora i dał nam jakieś ziółka. Straszne świństwo, ale ojciec czuje się po tym coraz lepiej - stwierdziła z zadowoleniem.

Na tę kwestię mieli z matką krańcowo różne poglądy.

- Mam nadzieję, że mimo wszystko chodzicie także do prawdziwego lekarza?

- Oczywiście, przecież nie jesteśmy głupi! - parsknęła. Paul roześmiał się, bó wiedział, że nie lubiła, kiedy tak mówił.

- Czy mógłbym teraz zamienić kilka słów z Mikem? -zagadnął.

- Oczywiście. Poczekaj chwilkę.

Słyszał, jak zakrywała dłonią mikrofon, aby stłumić dźwięki. Wkrótce do aparatu podszedł Mike.

- Cześć, Paul. Co słychać w Nowym Jorku? Ciagle tak zimno?

- Do wszystkiego można się przyzwyczaić - stwierdził fi-

lozoficznie Paul. Pamiętał, że Mike miał zaledwie osiem lat, kiedy przeprowadzili się do San Jose i nie wrócił więcej do Nowego Jorku. Nie miał nawet takiego zamiaru, chyba że chodziło o krótką wizytę u brata. - Słuchaj, chciałbym ci zadać głupie pytanie. Spotykałeś się kiedyś z pół Wietnamką?

- Że co?

Paul wiedział, że Mike prowadził dużo bujniejsze życie towarzyskie niż on w porównywalnym wieku, a jednak krępował się prosić młodszego brata o radę.

- Tak tylko pytam. A spotykałeś się z dziewczynami, które nigdy jeszcze nie umówiły się z Azjata?

Mimo że rozmowa toczyła się przez telefon, niemal widział, jak Mike wzrusza ramionami.

- No, ze względu na to, że sam jestem Azjata, owszem, spotykałem takie, ale nigdy z żadną nie chodziłem. Tak samo jak z żadną pół Wietnamką. A o co ci chodzi? Poderwałeś taką dziewczynę?

Wywołało to komentarze wśród przysłuchujących się rozmowie członkom rodziny. Paul słyszał strzępy uwag : „Paul kogoś ma? Ale co to za jakieś pół-coś-tam?” Wszystko to jednak zaraz zagłuszył płacz małego Michaela.

Paul otarł pot z czoła i pomyślał, że telefon do rodziny wcale nie był najlepszym pomysłem.

- Poczekaj chwilę - poprosił tymczasem Mike i oddał komuś słuchawkę, w której zaraz rozległ się głos ich siostry:

- Paul? Cześć!

- O, cześć, Nala! - Paul ucieszył się, że może pomówić z siostrą, która była od niego tylko o rok młodsza, więc czuł się z nią bliżej związany. - Podobno jesteś już wielka jak stodoła?

- Tak, ale bardzo szczęśliwa! - uzupełniła z dumą. - Wpadam na chwilę do rodziców i co słyszę? Nareszcie za-

cząłeś się z kimś spotykać! To świetnie, bo odkąd zerwałeś z Phoung, żyłeś jak pustelnik. Oczywiście, nikt cię o to nie obwinia, chyba że ty sam...

- Skąd, nadal twierdzę, że Phoung to wspaniała dziewczyna. A co u niej słychać?

- Mama mówiła, że już niedługo wychodzi za mąż, za faceta, który ma restaurację. Wygląda na to, że jej się udało. Chyba nie jest ci przykro z tego powodu?

- Wręcz przeciwnie, przecież przyjaźniliśmy się z Phoung od dziecka. - Mówił całkiem szczerze, bo rzeczywiście życzył jej jak najlepiej. Po prostu czuł, że uczucie, jakie do siebie żywili, nie miało nic wspólnego z wielką namiętnością, a zatem na dłuższą metę nie byłaby z nim szczęśliwa. - Naprawdę chciałbym, żeby jej się powiodło.

- To dobrze, bo wolałabym, żeby to nie rzucało cienia na twoją nową-znajomość. Czy dobrze usłyszałam, że chodzisz z pół Wietnamką? Potrząsnął głową, bo jedną z przyczyn jego przeprowadzki do Nowego Jorku była chęć uwolnienia się od kurateli rodziny. Działał© mu na nerwy, kiedy wszyscy wchodzili z butami w jego życie prywatne. Tym bardziej więc rozumiał i cenił dążenie Rose do niezależności pod tym względem. Wiedział, jak uciążliwe może być nachalne swatanie.

- Wcale z nią nie chodzę - zaprzeczył. Wiedział jednak, że z Nalą może rozmawiać szczerze, więc wyznał: - Owszem, chciałbym, ale ona nie umawia się z Azjatami.

- Aha, znam takie kobiety. Niektóre nawet same są Wiet-namkami! - potwierdziła Nala. - A wiesz może, dlaczego?

- Prawdę mówiąc, nie wiem. - Po namyśle jednak dodał: - To znaczy, wydaje mi się, że dotychczas po prostu żaden jej się nie spodobał. Nie wygląda mi to na świadomy wybór, raczej tak wyszło.

- A myślisz, że ty jej się podobasz?
 - Nie wiem. - Zastanowił się przez chwilę, bo jak dotąd nie zadał sobie takiego pytania. - To znaczy, tak mi się wydaje, ale widzieliśmy się dopiero kilka razy.
 - Ale się spotykacie?
 - Nie, raczej udzielam jej lekcji na temat Wietnamu, naszej kultury, języka i tak dalej... - Zanim siostra wyrwała się z jakimś komentarzem, oświadczył stanowczo: - Nawet nie pytaj, dlaczego, bo to mocno zawikłana sprawa. A zresztą, powiem ci: jeśli dostatecznie dobrze opanuje ten materiał, babcia nareszcie przestanie podsuwać jej wietnamskich kandydatów do małżeństwa.
 - Dobrze, kiedy indziej opowiesz mi tę historię - zbyła go Nala. - A czy ona uważa się za Wietnamkę?
- To pytania zupełnie Paula zaskoczyło.
- A wiesz, że nie wiem, za kogo ona się uważa - wysznał szczerze. Przypomniał sobie tylko smutek widoczny w twarzy Rose i dodał: - Gdybyś mogła ją widzieć... Wy-" glądała na strasznie samotną i zagubioną, a mnie skarżyła się, że czuje się jakoś tak... obco! Nie wiedziałem nawet, co powiedzieć, żeby ją pocieszyć.
 - Nie musisz nic mówić - doradziła mu Nala. - Powinieneś raczej przekonać ją, że nie jest wśród nas obca.
 - Coś takiego! - zdumiał się Paul. Żeby o rok młodsza siostra pouczała go jak stara ciotka! - A niby jak mam to zrobić?
 - Okaż jej akceptację - poradziła Nala. - Udowodnij, że także inni ludzie ją akceptują. Niech się przekona, że nie różnicie się aż tak bardzo. Paulowi podobała się ta propozycja. Spróbował nawet myśleć głośno, mruczając pod nosem:
 - Mógłbym na przykład zabrać ją na Święto Wiosny...

- Brawo, widzę, że załapałeś, w czym rzecz! - pochwaliła go Nala, a Paul przysiągłby, że słyszy w jej głosie rozbawienie. - Opowiesz mi potem, jak ci poszło, dobrze?

Rose czuła, że nie pasuje do tego towarzystwa, dlatego starała się trzymać na uboczu. Uczestnicy imprezy stawili się tłumnie, ubrani w stroje narodowe mniej lub bardziej odświętne - od takich, które można było założyć na rozmowę wstępną w sprawie pracy, po tradycyjne kostiumy z bogato haftowanego jedwabiu. Szczególnie uroczo wyglądały małe dziewczynki w obcisłych sukienkach z długimi rękawami.

Przyzwyczała się już do myśli, że będzie odgrywać tu wyłącznie rolę widza, gdy nad jej uchem odezwał się cichy głos:

- Co tu robisz?

- Nic - odpowiedziała, bo napotkała wzrok Paula.

- Tak też myślałem. - Uśmiechnął się ciepło, więc od razu zrobiło jej się lżej na duszy. - A dlaczego nie bierzesz w niczym udziału?

- Przecież wiesz, że nie znam języka. - Wzdrygnęła się na samą myśl o takiej możliwości.

- Nie będzie ci potrzebny - obiecał. Patrzyła na niego z niedowierzaniem, a kiedy wziął ją za rękę, nerwowo się zaśmiała. - No, chodźmy.

Podprowadził ją do rozkładanego stołu, na którym piętrzyły się góry najrozmaitszych potraw. Doglądała ich drobna, starsza dama o twarzy opalanej na brąz i pomarszczonej jak suszona śliwka. Jej głęboko osadzone, paciorkowate oczka spoglądały na Rose wyraźnie podejrzliwie. Jednak gdy Paul powiedział do niej coś po wietnamsku - z miłym uśmiechem wskazała im jeden z półmisków, zachęcając:

- Spróbujcie tego!

Zaproponowane przez nią danie wyglądało jak ryżowe ciasteczka, choć Rose nie była tego pewna. Nie chciała obrazić starej kobiety, więc ostrożnie wzięła jedno i ugryzła. Okazało się lepkie i ciągliwe, a w środku miało czerwone, słodkie nadzienie. Uśmiechnęła się więc pełnymi ustami.

- Dziękuję - wymamrotała.

Paul wziął ze stołu półmisek pełen różnych drobnych przekąsek.

- To też należy do twojej edukacji - oświadczył, wskazując jej wolne krzesło. - Teraz dzieci zaprezentują nam przedstawienie. Myślę, że możesz na tym dużo skorzystać. Przyda ci się taka lekcja.

Sam usiadł obok niej. Nagle zaroilo się wokół od ludzi. Coraz to ktoś inny nawiązywał z nim rozmowę, a Paul wszystkim ją przedstawiał. Rose przeważnie tylko się uśmiechała, ale przynajmniej nie siedziała samotnie pod ścianą. Dzięki Paulowi zyskała poczucie przynależności do grupy. Przypominało to trochę randkę w ciemno podczas zjazdu rodzinnego, ale na swój sposób było całkiem sympatyczne.

Zachwyciły ją szczególnie dzieci - mali chłopcy i dziewczynki w narodowych wietnamskich strojach. Nauczyciele musieli nieustannie ich strofować, przypominając, gdzie się znajdują i co robią. Przy akompaniamencie ich podpowiedzi dzieciaki wystąpiły z inscenizacją legendy o Au Co i Lac Long Quanie. Rose od razu się tego domyśliła i szepnęła Paulowi na ucho:

- O, to już znam!

Od jego uśmiechu zrobiło jej się ciepło na sercu.

Przedstawienie nie potrwało długo, a po jego zakończeniu dzieci zaintonowały wietnamską piosenkę. Do śpiewu dołączył również Paul i niektórzy inni dorośli. Określone

fragmenty wymagały klaskania w takt muzyki, w czym mogła uczestniczyć także i Rose. Dopiero po wyjściu dzieci dorośli śmielej zaczęli krążyć po sali, częstując się jedzeniem i rozmawiając półgłosem. Rose przysiadła się w końcu do młodego wietnamskiego małżeństwa z pobliskiego Wappingers Falls.

-Jak to dobrze, że Paul założył ten ośrodek! - zachwycała się Daphne Nguyen. - Wprawdzie to kawałek drogi od nas, ale przedtem mogliśmy najwyżej zabierać dzieci do centrum na obchody święta Tet czy inne imprezy. Teraz możemy wysyłać je na letnie obozy, gdzie mogą rozmawiać po wietnamsku z innymi dziećmi i nie czują się...

Zabrakło jej odpowiedniego słowa, więc pomagała sobie gestami.

- Osamotnione? Wyobcowane? - podsunęła Rose.

- O, właśnie! - podchwyciła Daphne. - Widzę, że mnie rozumiesz. Nasze hrabstwo bardzo potrzebowało takiej inwestycji.

Rose rozejrzała się w poszukiwaniu Paula i stwierdziła, że bawi się z dziećmi w berka wokół sali.

- On rzeczywiście odwalił tu kawał dobrej roboty! -przyznała z uśmiechem.

- Słyszałam od niego, że chcesz lepiej poznać naszą kulturę. - Daphne nawiązała do tematu, który najbardziej interesował Rose. - To naprawdę bardzo ładnie z twojej strony!

- Tak uważasz?

Mąż Daphne, Tan, przyłączył się wreszcie do rozmowy.

- Ja też kiedyś rozpaczliwie próbowałem się zasymilować - przypomniał.

- W dzieciństwie marzyłem, aby zostać jasnowłosym dwumetrowym piłkarzem!

Daphne zachichotała, a mąż czule otoczył ją ramieniem i kontynuował:

- Dopiero na studiach zainteresowałem się bliżej swoimi korzeniami.

Podobnie jak Paul.

- Coś takiego! - zdziwiła się uprzejmie Rose. A więc wszyscy tu dobrze znali Paula. Nic dziwnego, przecież wokół niego kręciło się życie kulturalne tutejszej wiet-

, namskiej wspólnoty. - Ciekawe, jak mogło do tego dojść?

- Paul studiował w Berkeley. Zapisał się tam do Zrzeszenia Studentów Wietnamskich i całkowicie poświęcił działalności w tej organizacji - opowiadał Tan. - W Kalifornii to nietrudne, gdyż istnieje tam wiele skupisk imigrantów z krajów azjatyckich. Jednak Paul uznał, że powinien wrócić na Wschodnie Wybrzeże, aby założyć podobny ośrodek kulturalny spełniający takie same zadania.

- Widziałaś kiedyś coś takiego? - szepnęła konfidencko Daphne. - Przecież on zbił kupę szmalu na handlu nieruchomości! Chyba nadal jeszcze ma kamienice czynszowe i działki budowlane i spokojnie mógłby się z tego utrzymać, a tymczasem zajmuje się pracą społeczną na przedmieściach Nowego Jorku.

Rzeczywiście, Rose trudno było uwierzyć, że ten szczerzy, bezpretensjonalny chłopak mógł posiadać tak duży majątek.

Przypuszczała jednak, że nie wie o nim jeszcze dużo więcej.

Tymczasem Paul podszedł do nich i uśmiechnął się promiennie.

- Pewnie wygadujecie tu o mnie niestworzone rzeczy, ,co? - zagadał.

Pozornie skierował to pytanie do Daphne i Tana, ale' patrzył wprost w oczy Rose. Przez chwilę wydawało jej się, że zaraz otoczy ją opiekuńczym ramieniem, podobnie jak przed chwilą Tan własną żonę.

Jasne jednak, że nie mógł nic takiego zrobić - nie byli tu przecież na

randce ani nie łączyły ich tak zażyłe stosunki, choć Rose czuła, że nie miałyby nic przeciwko temu.

- Skąd, tylko to, co wszyscy wiedzą - zaprzeczyła Daphne.

Zaproszeni muzykanci zagrali akurat jakiś tradycyjny utwór. Uczestnicy imprezy zaczęli zsuwać krzesła pod ściany, aby zostawić wolny środek sali. Większość ruszyła do tańca, który najwidoczniej wszyscy znali.

Także i Paul pociągnął Rose za rękę.

- Nie umiem tego tańczyć! - opierała się, przysiadając na najbliższym krześle.

- To nic, pomogę ci - zachęcił ją ciepłym uśmiechem. Temu argumentowi nie mogła się oprzeć, więc dała się

zaprowadzić na parkiet i próbowała naśladować kroki, które jej pokazywał. Nie szło jej najlepiej, ale po chwili przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Otaczający ją tancerze uśmiechali się życzliwie, a dzieci śmiały się wprawdzie otwarcie, ale bez złośliwości.

Najważniejsze jednak było to, że Paul przez cały czas ją ośmielał. Kiedy skończył się taniec i widzowie zaczęli bić brawo, Rose była już zgrzana od wysiłku i zaczerwieniona od śmiechu.

- Może chciałabyś odetchnąć świeżym powietrzem? - podsunął Paul.

Chętnie na to przystała i pozwoliła podać sobie ramię. Wyszli prosto na dwór, do parku z placem zabaw dla dzieci, przylegającego do budynku.

Przy zjeździe Rose przystanęła i oparła się o nią plecami. Chłodne, wiosenne powietrze mile orzeźwiało jej rozpalone policzki.

- Wyglądałaś wspaniale - orzekł Paul ściszym głosem, stając tuż obok niej.

- Akurat, jak kurczak w ataku padaczki! - zachichotała. - Ładnie z twojej strony, że tak mówisz.

- Nie powiedziałem, że dobrze tańczyłaś, bo nad tym musisz jeszcze popracować, tylko że ślicznie wyglądałaś. Zresztą teraz też...

Patrzył na nią tak, że przez chwilę poczuła, jakby zabrakło jej tchu.

- Panie Duong, czyżby mnie pan podrywał? - spytała, siląc się na żartobliwy ton.

- To zależy... - wyszeptał. - A przynajmniej skutecznie?

- Może... - odpowiedziała ze śmiechem.

- A myślałem, że nie randkujesz z Azjatami.

- Powiedziałam, że nie randkowałam z Azjatami, a to nie to samo! - poprawiła cicho, patrząc gdzieś w przestrzeń.

- Aha, rozumiem.

Kiedy znów na niego spojrzała, stwierdziła, że przysunął się do niej dużo bliżej niż przedtem.

- Może uda mi się sprawić, że zmienisz zdanie - wyszeptał i pochylając się szybko, pocałował ją w usta.

Rose nie wiedziała nawet, czy tego właśnie oczekiwała;" bo nigdy dotąd nie spotykała się z chłopakiem, który tak dobrze całował. Paul okazał się niedościgniony w tym kunszcie - nie wymagał od niej wzajemności, tylko delikatnie muskał jej wargi. Dopiero kiedy westchnęła usatysfakcjonowana, objął ją w pół i mocniej przycisnął do siebie, wzmagając jednocześnie intensywność pocałunku. Niemal wbrew sobie Rose zareagowała natychmiast. Uniosła dłonie, by objąć go za szyję i przyciągnąć do siebie jeszcze bliżej.

Czas jakby się zatrzymał, nie wiedziała więc, jak długo pozostawali w tej pozycji. Pierwsza jednak złowiła uchem stłumiony chichot, więc niechętnie odsunęła się od Paula i rozejrzała dookoła.

Okazało się, że kilkoro dzieci wymknęło się spod kon-

troli opiekunów i teraz stały nieopodal, dzieląc się spostrzeżeniami na temat tego, co robi ich nauczyciel.

Paul krzyknął do nich coś po wietnamsku, a one natychmiast rozpięzchły się ze śmiechem i pobiegły z powrotem do budynku. Tymczasem Paul spojrzął na Rose spod opuszczonych powiek.

- Na czym to stanęliśmy?

Rose zadrżała, choć nie była pewna, czy z powodu zimna.

- Myślę, że powinniśmy już wracać - zdecydowała, choć poczuła się jak zwykły tchórz.

Uśmiechnął się, życzliwie jak zwykle i cofnął o krok, by mogła przejść na ścieżkę. Jednak w drodze powrotnej .do ośrodka objął ją w talii ramieniem i delikatnie przycisnął do siebie. Musiała przyznać, że podobał się jej ten opiekuńczy gest.

Wrócili do budynku. Rose mogłaby przysiąc, że na wielu twarzach dojrzała znaczące uśmiechy. Przede wszystkim u Daphne, ale także u starszej pani, która poczęstowała ją ciastkiem. Natychmiast poczuła, że się rumieni. Wolałaby nie widzieć ich pełnych zrozumienia spojrzeń.

- Bardzo tu przyjemnie - zwróciła się do Paula - ale chyba powinnam już jechać. Mam stąd kawał drogi do domu.

Nie skomentował tych słów, ale i nie spuszczał z niej oczu, co sprawiło, że nagle zapragnęła zostać jak najdłużej, byle przy nim.

- Ten... egzamin masz za dwa tygodnie, tak? - zaczął nagle z zupełnie innej beczki.

Zamrugła zdezorientowana, bo zdążyła już zapomnieć, co sprowadziło ją do ośrodka. Miała przecież zgłębiać tu swoją wiedzę, by uwolnić się od babci i wybieranych przez nią kandydatów na męża! Skinęła więc potakująco głową.

- Dobrze więc - podjął. - Spróbuję zorganizować ci ja-

kieś ciuchy. Właściwie, orientujesz się już nieźle w temacie, więc pozostały nam jeszcze kwestie kulinarne.

- Jak sobie życzysz - uśmiechnęła się szeroko. - Ty tu jesteś nauczycielem!

- Świetnie, więc wejdźmy na chwilę do mojego biura.

Poszła w ślad za nim do ciemnego o tej porze gabinetu, rozmyślając, czy oznacza to kolejny zapierający dech w piersiach pocałunek. Okazało się jednak, że Paul tylko zapisał coś na kawałku papieru, który jej wręczył. Na karteluszkę widniał adres i wskazówki, jak tam dojechać. Spojrzała więc na niego pytająco.

- No, przecież nie będę gotował u siebie w pracy! - wyjaśnił rzeczowo, choć z dziwnym błyskiem w oczach. - Pomyślałem sobie, że ugotuję coś specjalnie dla ciebie, ale u mnie w domu.

- U ciebie w domu? - powtórzyła czując, że serce jej przyspiesza.

- Chcę ugotować coś specjalnie dla ciebie - powiedział - ale w jego oczach wyczytała ciąg dalszy: I spędzić z tobą trochę czasu sam na sam.

Przełknęła ślinę, zastanawiając się, co z tego wyniknie. Przecież zgłosiła się do niego, aby ją czegoś nauczył, a nie po to, żeby znaleźć sobie kolejnego randkowicza. Tylko że on okazał się taki uroczy, a jego pocałunki... Sprawa wyglądała poważnie, więc co szkodziło spróbować?

- O której mam do ciebie przyjść? - spytała. Uśmiech, jakim ją obdarzył, sprawił, że poczuła miłe ciepło w okolicach serca.

Resztę tygodnia Paul przeżył jak w transie. Pocałunki Rose spełniły, a nawet przewyższyły wszelkie jego ocze-

kiwania. Gdyby nie znajdowali się wtedy w ośrodku, pewnie nie skończyłoby się na całowaniu. Prawdę mówiąc, nie był pewien, na czym by się w ogóle skończyło. Z zadumy wyrwał go głos sekretarki, pani Nguyen.

- Paul?

- Och, przepraszam! - Zamrugął oczami. - O co chodzi?

- Telefon do ciebie.

- Dziękuję. - Uśmiechnął się do niej, kiedy zamykała za sobą drzwi gabinetu. - Słucham, Paul Duong.

- Cześć, tu Nala.

Z wrażenia aż wyprostował się na krześle.

- Co u ciebie, wszystko w porządku? Urodziłaś już?

- Jeszcze nie, ale w każdej chwili może się zacząć. Na szczęście czuję się świetnie. - Rozśmieszyła ją jego troska. - Wszyscy teraz latają wokół mnie jak koty z pęcherzem, a ja tylko chciałam cię spytać, jak ci poszło z tą pół Wietnamką?

Paulowi wydawało się, że w tonie jej głosu pobrzmiwa tłumione napięcie. Przypomniawszy sobie, jak całował się z Rose, więc oznajmił z dużą pewnością siebie:

- Świetnie! Masz pojęcie, że w ten weekend będę dla niej gotował? A co, powiedziałem coś nie tak?

- No... właściwie nie - wyjąkała Nala z wyraźnym wahaniem.

- Ej, widzę, że coś nie daje ci spokoju. Śmiało, wyduś to wreszcie!

- Wiesz, od czasu naszej ostatniej rozmowy dużo o tym myślałam. I nie jestem pewna, Paul, czy ona jest dla ciebie odpowiednią dziewczyną.

- A niby dlaczego miałyby nie być? - obruszył się Paul, starając się nie okazywać zniecierpliwienia. - Chyba nie dlatego, że jest tylko pół Wietnamką?

- No wiesz, za kogo mnie masz?

- Przepraszam. - Mówił szczerze, bo rzeczywiście zrobiło mu się przykro.
- Polubiłem ją, bo jest wobec mnie szczerą i naprawdę czuję się zagubiona.
- Otóż to! - podchwyciła Nala. - Sam mówiłeś, że zgłosiła się do ciebie, żeby dowiedzieć się więcej o naszej kulturze. To znaczy, że macie do siebie taki stosunek, jaki zachodzi między nauczycielem a uczennicą.
- Chyba nieoficjalnie! - sprostował Paul, marszcząc czoło. - Przecież ona nie uczęszcza na żaden kurs ani nie płaci mi za naukę.
- Ale wiesz, o co mi chodzi, prawda? - naciskała Nala. - Jeżeli ona czuje się tak zagubiona, jak mówisz, to znaczy, że czegoś szuka. Na przykład dowartościowania albo kontaktów z ludźmi. Ale to, że jest samotna, nie oznacza automatycznie, że zakochana...
- Nie uważasz, że jeszcze za wcześnie, aby mówić o miłości? - zdenerwował się Paul, chociaż te słowa sprawiły mu przykrość. - Dam jej dużo czasu, żeby mogła się zdecydować, czego właściwie chce, ale nie mam zamiaru jej terować ze strachu, że ona nie wie, co robi!
- Widzę, że to już postanowione - westchnęła Nala. - Poznaję po twoim głosie, że lecisz na tę dziewczynę.
- Owszem - potwierdził całkiem poważnie. - Rose jest super. Jestem ciekaw, co z tego wyniknie.
- W porządku, ale uważaj, dobrze? - przestrzegła Nala. - Z taką panienką, która dotąd trzymała się z daleka od Azjatów, a tu raptem zachciewa się jej szukać korzeni i od razu rzuca się na pierwszego Wietnamczyka, jakiego poznała, nigdy nic nie wiadomo...
Zawiesiła głos, a Paul zgrzytnął zębami.
- Będę ostrożny - obiecał.
Przez następne pięć minut wymieniali najnowsze wia-

domości. Potem Nala musiała już kończyć, ale Paul nie mógł przestać myśleć o jej przestrodze. „Rzuca się na pierwszego Wietnamczyka, jakiego poznała...” Był pewien, że w jego przypadku taka możliwość nie wchodziła w grę. Niemożliwe, aby traktowała go jako królika doświadczalnego...

No, powiedzmy, prawie niemożliwe.

- Mamusiu, chciałabym z tobą porozmawiać.

Była sobota, więc Rose wybierała się na spotkanie z Paulem. Jednak ni z tego, ni z owego przed samym wyjazdem poczuła dziwny niepokój.

Naprawdę podoba mi się ten facet! powtarzała sobie, "świadoma, że dawno już nie przeżywała takiego uczucia. Właściwie od czasu, kiedy rozstała się z Seanem, a może i przedtem też nie?

Chętnie porozmawiałaby z kimś na ten temat, ale krępowała się swoich białych koleżanek. Obawiała się, że jej nie zrozumieją. Natomiast matka na pewno będzie wiedziała,

o co chodzi.

- A co, czy coś się stało?

- Co się stało? Coś złego? - zawtórowała babcia, wchodząc do kuchni.

- Ależ nic złego! - zapewniła Rose, ze świstem wciągając powietrze.

Szkoda, że wcześniej nie uzgodniła tej wizyty przez telefon. - Babciu, chciałam po prostu porozmawiać z mamą, ale zapewniam cię, że to nic poważnego.

- A cóż to takiego, że ja nie mogę posłuchać? Ponieważ nie chcę, żebyś mnie znowu w coś wrabiała

i nie cierpię, kiedy ktoś wywiera na mnie nacisk, pomyślała Rose, głośno zaś odpowiedziała:

- Ponieważ chcemy pomówić o sprawach, które cię nie interesują.
Paciorkowate oczka babci zwięzły się podejrzliwie.

- Na przykład jakich?

- Niedługo już urodziny babci Irenę - na poczekaniu wymyśliła Rose -
więc chciałyśmy się z mamą naradzić, co przygotujemy...

Tak jak przypuszczała, babcia od razu zrobiła zgryźliwą minę.

- Gdybyście mnie potrzebowały, będę oglądać telewizję w swoim pokoju
- oświadczyła, wycofując się z godnością.

Rose odczekała, aż ucichły jej kroki na schodach i dopiero wtedy
zwróciła się do matki, która zaśmiewała się w kułak.

- Aleś chytrze wymyśliła! - pochwaliła, nalewając sobie i Rose po
filizance herbaty. - Przecież wiesz, że urodziny Irenę wypadają dopiero w
grudniu, ale jej imię działa na babcię jak czerwona płachta na byka. No
więc o czym to chciałaś ze mną pomówić?

- Bo widzisz, ja... - Rose wzięła głęboki oddech. - Idę na randkę, ale
trochę się denerwuję.

- A dlaczego? - zaciekała się matka, stawiając tuż przed nią
porcelanowe naczynie.

- Właśnie w tym problem, że nie wiem, dlaczego.

- Aha, rozumiem! - Uśmiechnęła się domyślnie. - Czy to ktoś, kogo
znam?

Rose wolała na razie nie wspominać o swojej wizycie w ośrodku kultury
wietnamskiej. Nawet nie wiedziała, dlaczego ukrywa ten fakt - może
obawiała się, że jej babcia i na tym polu zechce spróbować swatów?

- Raczej nie, bo nawet ja sama dobrze go nie znam - odpowiedziała
wymijająco. - Tylko tak się czasem zastanawiam...

- Nad czym?
- Przecież mieszkałaś wtedy w Sajgonie. - Niespodziewanie zmieniła temat. - Dlaczego wybrałaś właśnie tatusia, a nie kogoś, kto... no, wiesz. - Zawiesiła głos.
- Chodzi ci o to, dlaczego nie wyszłam za Wietnamczyka? - podsunęła matka z łagodnym uśmiechem. Rose przytaknęła skinieniem głowy. Jej matka przez chwilę patrzyła w bok, jakby szukając odpowiednich słów i po chwili podjęła:
 - Widzisz, twój ojciec nie był podobny do żadnego z mężczyzn, jakich przedtem znałam. Nie przypominał także takiego Amerykanina, jakich sobie wyobrażałam. Był miły, życzliwy i nie miał nic przeciwko moim aspiracjom, w przeciwieństwie do wymarzonego przez twoją babcię kandydata na zięcia.
 - Ach, więc babcia chciała, żebyś wyszła za innego? Miała na oku kogoś konkretnego?
 - Owszem, naszego długoletniego znajomego. Był nawet sympatyczny, ale... Jakby ci tu powiedzieć? No, taki tradycjonalista. Chciał zawsze postawić na swoim. Mawiał, że najlepiej by było, gdyby nic się nie zmieniało. Miał... - gwałtownie gestykulując, szukała właściwego zwrotu. - Ty byś pewnie powiedziała, że miał pewne uprzedzenia. Rose zaśmiała się głośno.
 - Takie poglądy mieli prawie wszyscy Wietnamczycy, których znałam - kontynuowała matka. - Także i twój dziadek. Jasne, że nie byli złymi ludźmi, ale nie tego oczekiwałam. Natomiast gdy poznałam twojego ojca, wydawało mi się, że znalazłam to, czego szukałam.
 - Ale okazało się, że to nie to, prawda?
 - Nie w tym rzecz. - Matka poklepała ją po ręku. - Okazało się raczej, że to ja nie jestem podobna do kobiet,

z jakimi w przeszłości utrzymywał stosunki. Skupiliśmy się na tych różnicach, zamiast poszukiwać tego, co nas łączy. No i dlatego się rozstaliśmy.

Rose przez chwilę zastanawiała się nad tym, co usłyszała, po czym spojrzała na zegarek.

- Muszę już iść, bo on na mnie czeka.

- Ależ oczywiście.

- Dziękuję ci, mamó, że chciałaś ze mną porozmawiać. To bardzo mi pomogło - oświadczyła Rose, podnosząc się z krzesła. Jednak zaledwie zwróciła się w stronę drzwi, jęknęła, gdyż stała tam babcia, z rękami założonymi na piersiach i zdecydowanym spojrzeniem.

- Babcia Irene, co? - wycodziła z ironią. Najprawdopodobniej zeszła po schodach na paluszkach, podkrađła się pod drzwi i podsłuchiwała przynajmniej koniec rozmowy. - Wybierasz się na randkę i przyszłaś prosić matkę o radę, prawda?

Rose tylko westchnęła.

- Muszę już iść, babciu. - Próbowała się wykręcić.

- Prosisz ją o radę, mimo że sama nie umiała znaleźć sobie odpowiedniego męża? - naciskała babcia, potrząsając głową. - Wyszła za obcego i widzisz, jak się to skończyło? Tobie pewnie też doradziła jakiegoś Amerykanina?

Rose poczuła wzbierający gniew.

- Muszę już iść! - powtórzyła, mijając babcię, która zarzuciła teraz córkę potokiem wietnamskich słów.

- Tylko jedź ostrożnie! - zawołała za nią matka.

Kiedy Rose zdołała w końcu opuścić mieszkanie, usiadła w samochodzie i przez chwilę zamyśliła się z głową wspartą na kierownicy.

Jasne, że kochała babcię, ale ta kobieta, jak nikt inny, potrafiła wyprowadzić ją z równowagi, bo wiedziała, gdzie uderzyć, żeby zabolalo. Ciekawe, jak by zareagowa-

la, gdyby wiedziała, że jej wnuczka udaje się na randkę z najprawdziwszym Wietnamczykiem?

Pewnie zaczęłyby węszyć i wypytywać, więc, póki co, Rose wolała utrzymywać w tajemnicy znajomość z Paulem. Nie wiedziała przecież, czy nie okaże się taki jak mężczyźni, o których wspominała matka - konserwatywny, zaborczy albo wręcz despotyczny. Na razie za dużo było tych niewiadomych, wolała więc nie wtajemniczać rodziny w szczegóły tej znajomości.

Tak czy inaczej, zapalając silnik samochodu, Rose obawiała się, że dziś wieczorem nie będzie w najlepszym nastroju.

Na szczęście podczas smażenia sajgonek skończyło się tylko na lekkim oparzeniu, a teraz już sprzątał kuchnię. Przygotował kilka dań, ba - pomyślał nawet o deserze, na który miały się składać fasolowe ciasteczka i owoce liczi. Chciał zademonstrować Rose przyspieszony kurs wietnamskiego gotowania, ale sam umiał przyrządzać niewiele tradycyjnych potraw, a nie zaprosił jej przecież na degustację specjalności kawalerskiej kuchni w rodzaju pieczonych kartofli czy gotowych posiłków odgrzewanych w mikrofalówce. Wykonał więc kilka rozpaczliwych telefonów do matki, aby poprosić ją o instrukcje, starając się przy tym wykręcić od jej pytań, jaki to ważny gość wymaga tyle zachodu.

Prędzej czy później i tak musiał powiedzieć jej o Rose, ale na razie nie wiedział nawet, czy dziewczyna w ogóle wiąże z nim jakieś plany.

Mieszając zupę i spoglądając przy tym na zegarek, przypomniał sobie ostatnią rozmo-

wę z Nalą, która uświadomiła mu, że w tych sprawach należy zachować szczególną ostrożność. Jeżeli bowiem Rose mogła zdecydować się na podjęcie nauki tylko dlatego, żeby uciszyć babcię, to czy nie oznaczało to również, że dla świętego spokoju zgodziłyby się umawiać z kimś na randki?

Nakrywając rondel pokrywką myślał, że jakkolwiek nie brzmi to zachęcająco, może dotyczyć także i jego. Nikt nie mógłby mu przecież zarzucić, że nie dbał o Phoung, swoją była narzeczoną. Skądże, lubił ją i cenił, ale jej nie kochał i wiedział to już wtedy, kiedy prosił ją o rękę. Zarówno jej jak i jego rodzice próbowali za wszelką cenę połączyć ich w parę, ba, związek ten odpowiadał także ich dostojnym dziadkom. Cóż z tego jednak, kiedy jemu brzydł z każdym dniem coraz bardziej, bo z każdym dniem przekonywał się, że kobieta, która jego bliskim wydawała się idealna, według jego kryteriów wcale takim ideałem nie była. Zerwał więc zaręczyny, co, o dziwo, bardziej zriartwiło jego rodziców niż Phoung.

Dlatego też rozumiał desperackie pragnienie Rose, by uwolnić się od nachalnego swatania jej przez babcię. Owszem, przyznawał, że wietnamskie kobiety są, być może, najpiękniejsze i najroztropniejsze na świecie, ale na dłuższą metę nie mógł znieść, kiedy rodzina do znudzenia wciskała mu, z jaką chodzącą doskonałością ma się ożenić.

Ciekawe, że kobietę, z którą wreszcie coś go łączyło, znalazł aż w Nowym Jorku, z dala od swojej rodziny i większości rodaków. A najzabawniejsze, w jakich okolicznościach na nią trafił - kiedy prosiła go o pomoc, żeby nie musieć spotykać się z Wietnamczykami! I z jakim naciskiem podkreślała, że nigdy dotąd nie chodziła z żadnym Azjata! Z zadumy wyrwał go dzwonek do drzwi. Kiedy je otwo-

rzył, stała za nimi Rose, w ciepłej kurtce, z zaróżowionymi policzkami i potarganymi włosami, co świadczyło, że wieczór był chłodny i wietrzny. Szybko więc wciągnął ją do środka i zamknął drzwi na zamek.

- Rozbierz się, powieszę twoją kurtkę - zaproponował, przyglądając jej się bacznie. Oczywiście wyglądała, jak zawsze, wspaniale, ale coś w wyrazie jej oczu i ust wskazywało na zmęczenie lub smutek. Bez słowa podała mu torebkę i okrycie, które zaniósł do sypialni, zastanawiając się, w jaki sposób dyskretnie ją o to zapytać.

Wyglądała tak nadal, kiedy do niej wrócił, ale sama narzuciła temat, pytając z wymuszonym uśmiechem:

- Co tu tak pięknie pachnie?

- Chodź, to ci pokażę. - Poprowadził ją do kuchni, opierając się pokusie objęcia jej ramieniem. Nade wszystko pragnął pocałować ją tak, jak wtedy na placu zabaw przy ośrodku, ale wolał się z tym nie spieszyć.

Mieli prze-ćież dużo czasu, a nie chciał stwarzać wrażenia, jakby tylko w tym celu zaprosił ją do siebie.

- Widzisz, w tej kuchni warzą się wszystkie czarodziejskie mikstury... - zaczął uroczystym tonem, rad, że spowodował tym przynajmniej leciutki uśmiech na jej twarzy. - Najlepiej usiądź, a ja z przyjemnością cię obsłużę!

- Przez całe życie czekałam, żeby coś takiego usłyszeć od mężczyzny! - zachichotała.

- Więc może to na mnie czekałaś przez całe życie? - Silił się na humor, ale nie rozwinął tego tematu, gdy zauważył jej spłoszone spojrzenie. Zamiast tego podprowadził ją do stołu w jadalni, na którym zgodnie z radą Nali postawił pojedynczą różę we flakoniemędzy dwiema zapalonymi świecami.

- Ho, ho! - zawołała, nerwowo przetykając ślinę. - Widzę, że poszedłeś na całość!

Niepewnie przestąpił z nogi na nogę. Czyżby zachował się jak słoń w składzie porcelany? Może powinien był raczej próbować ją zaskoczyć? Na szczęście, już weszła do pokoju, powąchała różę i z bladym uśmiechem orzekła:

- Bardzo to ładnie wygląda.

- No, to przynajmniej będziesz miała miłe wspomnienia - wywinął się zreźnie. - A poza tym dzisiejsza okazja, jest wyjątkowa..

- Naprawdę?

Podsunał jej krzesło i dopilnował, aby wygodnie usiadła.

- A nie wystarczy, że tu jesteś? - uśmiechnął się szeroko. - Zresztą przyznam ci się, że tak naprawdę to prawie wcale nie umiem gotować.

- Nic nie szkodzi - pocieszyła go z uśmiechem. Wyglądało na to, że zaczyna się odprężyć. - Przecież i tak nie wiem, jak to wszystko powinno smakować, więc nawet gdybyś coś spaprał, i tak się na tym nie poznam. •

- W takim razie jesteś idealnym gościem! - roześmiał się i mrugnął porozumiewawczo. - Poczekaj tu chwileczkę, zaraz wracam.

W kuchni wyłożył potrawy do naczyń, w których miał je podawać. Na końcu nalał zupę do dwóch miseczek i postawił je na stole, jedną przed Rose, a drugą przed sobą.

- Zaczniemy od tego - zdecydował. - W Wietnamie ta zupa podawana jest przy specjalnych okazjach. Moja mama występowała z nią tylko na wystawnych przyjęciach albo gdy chciała komuś zaimponować.

Rozkładając serwetkę na kolanach, Rose spojrzała na niego spod oka.

- To znaczy, że próbujesz mi zaimponować?

- A przynajmniej skutecznie? - Uniósł brwi z udanym zdziwieniem.

- Przepraszam, że pytam... - Zamieszała zupę i przygryzła wargę. - Ale... co to jest?

- Zupa z krabów i szparagów. A to, co w niej pływa, to rozbite jajko. Z pewnym wahaniem zanurzyła łyżkę w swojej miseczce i ostrożnie spróbowała niewielką ilość.

- Nieźle! - wypaliła, ale zaraz zorientowała się, jak bezbarwnie to wypadło, więc szybko się poprawiła: - To znaczy, chciałam powiedzieć, naprawdę dobre!

- Nie wszystko musi ci smakować - uspokoił ją Paul. -Chciałem tylko zaprezentować ci przegląd naszych najbardziej charakterystycznych dań narodowych. Chyba nie będziesz musiała znać na pamięć wszystkich nazw?

Rose powoli mieszała zupę w misce, nawet nie udając, że ją je.

- Prawdę mówiąc, nie wiem, jak babcia to sobie wyobraża - wyznała szczerze. - I w gruncie rzeczy coraz mniej mnie to obchodzi.

Paul poczuł dreszcz niepokoju przebiegający po kręgosłupie.

- Czy coś się stało? - zapytał z przestachem.

- Ależ nic takiego - zapewniła, znów zanurzając łyżkę w miseczce. -

Chodzi tylko o to, że mam już powyżej uszu zmuszania mnie do rzeczy, których nie cierpię.

- Takich jak nauka historii czy jedzenie potraw, które ci nie smakują? - podsunął Paul, upijając nieco wina.

- Tak! - wyrzuciła z siebie z głębokim westchnieniem.

- Albo takich, jak odwiedziny u mnie? Odłożyła łyżkę i spojrzała wprost na niego.

- Nie o to chodzi! - oświadczyła żarliwie, a wyraz jej oczu świadczył, że mówi prawdę. - Z tobą, czy w ośrodku, czy gdzie indziej, zawsze bardzo mile spędzam czas.

Nie mogę tylko znieść myśli, że robię coś nie dlatego, że to lubię, tylko że muszę, nawet jeśli to coś przyjemnego. Czuję się wtedy tak, jakbym sama nie umiała dokonać prawidłowego wyboru, a dla babci pewnie i tak nigdy nie będę wystarczająco dobrą Wietnamką! Paul ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Ale gdyby nie wywierała na ciebie nacisku, pewnie nigdy nie poznałabyś historii swoich wietnamskich przodków, a to przecież część także i twojego życia! - spróbował ją jakoś pocieszyć.

- Wiem, że ona należy do rodziny, ale mam do niej żal! - upierała się Rose.

- Nie znoszę, kiedy ktoś mi rozkazuje!

Paul wziął głęboki oddech i odsunął na bok miskę po zupie. Zauważył, że Rose zrobiła to samo, chociaż zjadła zaledwie połowę.

- A ja nie mam nic przeciwko temu! - Za wszelką cenę starał się ją rozweselić. - Proszę o rozkazy, co chciałabyś zjeść.

Kiedy przyniósł do pokoju potrawy, jakie przygoto- ' wał, Rose spojrzała na nie z niedowierzaniem.

- Co to jest? - zapytała ostrożnie. - Poznają tylko saj-gonki... to znaczy, chciałam powiedzieć, *cha gio*.

- Tak, to nasza najpopularniejsza potrawa. - Nałożył jej na talerz jeden z podsmażonych naleśników. - Zresztą moja ulubiona. A to jest *pho* z wołowiny, też zupa, ale z makaronem ryżowym, przyprawiona kolendrą i orzeszkami ziemnymi. Jeśli chcesz, możesz dodatkowo przyprawić ją tym ostrym sosem. - Podał jej buteleczkę czerwonego sosu na bazie chili.

- Ale jeśli nie jesteś przyzwyczajona do pikantnych przypraw, lepiej daj sobie spokój.

Następnie zaprezentował jej placki fasolowe i szczyptę krabów przybrane zieloną cebulką. Rose próbowała wszystkiego po trochu, dopóki coś jej wreszcie nie zasma-

kowało. Stwierdziła, że zupa *pho* nie udała mu się najlepiej, natomiast jeśli chodzi o naleśniki i szczypce krabów - matka mogłaby być z niego dumna.

- To może teraz przejdziemy do deseru? - zaproponował, kiedy skończyli posiłek. - Mam ciasteczka z fasoli i owoce liczi.

- Jakby to powiedzieć... - zaczęła z widocznym skrepowaniem. - Nie chcę, żebyś pomyślał, że jestem niewdzięczna, bo to wszystko było pyszne...

- No więc o co chodzi? - zachęcał ją łagodnie do dalszych zwierzeń.

- Nie masz czegoś bardziej... amerykańskiego? - Roześmiał się tak głośno, że aż przymknęła oczy. - Wiem, że to brzmi okropnie, ale poznałam już dziś tyle różnych smaków...

- Dobrze, nie ruszaj się stąd i poczekaj - przykazał, sprzątając ze stołu. Kiedy wrócił, trzymał coś schowane za plecami. - A to może być? Wyciągnął w jej stronę batonik „Dore”.

- Super! - ucieszyła się, co przyprawiło go o nowy atak śmiechu. - Ojej, przepraszam...

> - Nie ma za co - uspokoił ją. - W końcu nam obojgu chodzi o to, żebyś się czegoś nauczyła, a nie, żeby robić ci pranie mózgu. Ja też nie jadam takich rzeczy codziennie, a równie, jak kuchnię wietnamską, lubię także meksykańską, indyjską czy francuską...

- Ależ z ciebie kosmopolita! - uśmiechnęła się umaza-nymi czekoladą ustami.

- A w gorący, letni dzień nie ma jak hamburger z zimnym piwem!

Teraz już śmiała się otwarcie, a z jej twarzy znikły ostatnie ślady smutku.

- Lubię cię, Paul - wyznała.

- Ja ciebie też, nawet bardzo! - odwzajemnił się, czując mile ciepło w okolicach serca.

Zjedli jeszcze lody, a gdy wyrzucili patyczki, spojrzeli po sobie porozumiewawczo.

- Myślę, że powinniśmy teraz obłożyć się książkami -zdecydowała z westchnieniem Rose. - Strój zamówiłam już u tej pani, którą mi poleciłeś, zrobiłam notatki o wietnamskiej kuchni, więc...

Wziął ją za rękę, co spowodowało, że od razu zabrakło jej tchu.

- Mam lepszy pomysł - zaproponował, wskazując jej drogę do salonu. - Wydaje mi się, że przez te trzy tygodnie pochłonęłaś tyle wiedzy, że na razie wystarczy. Nie można tak zabijać się pracą!

Uśmiechała się, ale nie wyrywała ręki.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się skwapliwie. - A co proponujesz w zamian?

- W Berkeley podczas sesji egzaminacyjnej zawsze wyrywałem się do kina. Koledzy przesiadywali w bibliotece do białego rana, a na mnie patrzyli jak na wariata, kiedy spokojnie szedłem na popołudniowy seans.

- Więc proponujesz kino?

- Powiedzmy, kino domowe. - Otworzył szufladę z kasetami i płytami. - Obejrzymy takie same filmy, a przynajmniej nie będziemy się martwić o bilety czy miejsca do parkowania.

- Więc zaprosiłeś mnie na kolacyjkę i oglądanie filmów na wideo? - spytała z chytrym uśmieszkiem.

- A co, znowu powiedziałem coś nie tak?

- Skądże znowu! - Uwolniła rękę i wyciągnęła się na kanapie. - Tu jest bardzo miło, tak przytulnie... Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się odprężyłam.

Paul zmusił się do koncentracji nad wyborem płyty DVD.

- Co chciałabyś obejrzeć? - spytał, przerzucając swoją filmotekę. - Mam tu komedie, filmy akcji, a także kilka dramatów...

Miał nadzieję, że nie wybierze tych ostatnich, ponieważ powziął pewien plan. Chciał doprowadzić ją do zwierzeń, ale widział, że choć istotnie zdążyła już nieco się zrelaksować, nie była jeszcze gotowa na taką rozmowę. Liczył, że dobór odpowiedniego filmu ułatwi mu zadanie.

- Najchętniej komedię - odpowiedziała zgodnie z jego planem. - Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zdejmę pantofle?

Na końcu języka miał sugestię, żeby zdjęła, na co tylko ma ochotę, jednak głośno odważył się powiedzieć jedynie:

- No coś ty, usiądź tak, żeby ci było wygodnie.

Z ulgą zrzuciła czólenka i podwinęła nogi pod siebie. Paul umieścił płytę w odtwarzaczu i usiadł na kanapie obok Rose, na tyle blisko, aby móc jej dotknąć, gdyby zechciał, ale w takiej odległości, by nie czuła się osaczona. Uznał, że dzięki temu przyzwyczai się do jego bliskości. -

Rose... - spróbował zainicjować rozmowę. Zastanawiał się, czy będzie miała coś przeciwko temu, jeśli otoczy ją ramieniem. Nic jednak z tego nie wyszło, bo od razu go uciszyła.

- Psst! Nic nie mów, bo tego filmu jeszcze nie widziałam!

On znał go już na pamięć, więc w czasie, gdy Rose śledziła akcję, pozostało mu tylko rzucać ukradkowe spojrzenia na jej twarz, w której zauważał coraz to nowe szczegóły - duże, ciemne oczy, wydatne kości policzkowe czy pełne, zmysłowe usta...

Nie tak to zaplanowałem, myślał z żalem. Zamiast za-

cieśniać znajomość, siedział z nią oto na kanapie i tylko patrzył, jak reaguje na film, na niego nie zwracając najmniejszej nawet uwagi. Najważniejsze jednak, pocieszył się szybko, że Rose gościła w jego mieszkaniu, a godzina była Stosunkowo wczesna. Miał zatem masę czasu.

Mało tego, nie brakowało mu także cierpliwości. Kwitował więc uśmiechem każdy moment, kiedy śmiała się z komicznych scen filmu, i czekał cierpliwie, bo uznał, że jest tego warta.

Tymczasem na ekranie pojawiły się końcowe napisy filmu, a Rose zdążyła już przejść do porządku dziennego nad sprzeczką z babcią. Czuła się odprężona do granic rozleniwienia. Paul okazał się dżentelmenem, a nawet więcej - prawdziwym przyjacielem. Od razu zorientował się, że jest w złym nastroju i zamiast rozwodzić się nad przygotowaną przez siebie kolacją, na którą pewnie stracił masę czasu, zrobił wszystko, co w jego mocy, aby ją rozweselić. A kiedy siedzieli obok siebie na kanapie, oglądając film - nawet jej nie dotknął. Chociaż w tym wypadku wołałaby, żeby nie był aż taki opanowany...

- Podobał ci się film? - zagadnął, wyłączając telewizor.

- Och, bardzo! Dziękuję, Paul.

- 2a co? - Wyglądał na zaskoczonego.

- No, za twoją troskliwość i za to, że byłeś... - Wzruszyła ramionami, zastanawiając się nad trafnym określeniem, podczas gdy on wrócił na kanapę.

- ... pożeraczem damskich serc? - podsunął z łobuzerskim uśmiechem.

- Chciałam raczej powiedzieć, że byłeś miły! - zaprotestowała, kwitując żart uśmiechem.

- Miły? Rzeczywiście, to właśnie chciałby usłyszeć każdy mężczyzna!
- Dobra, dobra! - Położyła mu rękę na ramieniu, natychmiast przypominając sobie ich pierwszy pocałunek podczas imprezy w ośrodku - delikatny i łagodny, a jednocześnie pełen czułości. Teraz jednak pragnęła od niego czegoś więcej! Nie była pewna, jak daleko chciałaby się posunąć ani w jakim zakresie on by tego chciał. Całowanie się z kimś nie oznacza przecież automatycznie nawiązania bliższej zażyłości, a tego właśnie miała zamiar spróbować...

- Nie musisz jeszcze wracać do domu, prawda? - zagadnął tymczasem Paul.

Rose spojrzała na zegarek. Dochodziła dziewiąta - niby jeszcze wczesnie, ale miała przed sobą kawał drogi...

- Nie, mam jeszcze trochę czasu - odpowiedziała wbrew wszystkiemu.

- Świetnie, bo wydaje mi się, że powinniśmy porozmawiać.

Cóż, skoro uważał, że tego właśnie im trzeba... Szkoda tylko, że teraz akurat nie była w nastroju do rozmowy. Wolałaby coś bardziej zmysłowego!

- A o czym chcesz rozmawiać?

Jego bliskość sprawiała, że serce biło jej szybciej, a żołądek zawiązywał się w ciasny supełek. Dla niepoznaki wychyliła się naprzód, gładząc Paula po rękawie. Od razu przeniósł wzrok na jej rękę i też pochylił się w jej stronę.

- Chciałbym, żebyś wiedziała, jak miło spędziłem czas w twoim towarzystwie - wyjąkał.

- Ja też - odwzajemniła komplement, przyglądając się jego dłoniom, szczupłym i gładkim, a jednak bardzo, ale to bardzo męskim.

- Przypuszczam, że niedługo już przystąpisz do tego egzaminu, czy jak to nazwiesz. - Mówił wolno i rzeczowo. - Początkowo potrzebowałam mojej pomocy, by się przygotować...

Skrzywiła się, bo nie chciała teraz myśleć ani o „egzaminie”, ani o swojej babci. Chętniej poświęciłaby każdą myśl jemu i tylko jemu.

- To nie jest takie ważne, jak mi się wydawało... - próbowała zmienić temat.

- Na początku było dla ciebie ważne - sprostował z poważnym wyrazem twarzy. Jego ciemne oczy wydawały się w tym momencie prawie czarne.

- Chciałbym, żebyś wiedziała, że potrafię to uszanować.

Przytaknęła machinalnie, ale naprawdę nie spuszczała spojrzenia z jego ust. Zaobserwowała zmysłowe wygięcie dolnej wargi, którą teraz bardzo zmysłowo przygryzał... Naraz zapadło milczenie.

- Rose, czy ty mnie słuchasz?

Zamrugła powiekami, jakby ściągnął ją z obłoków. Wywołało to półuśmiech na jego twarzy.

- Ależ słucham, słucham! - zapewniła pośpiesznie.

- Bo jeżeli jesteś zmęczona... Albo wybrałem nieodpowiedni moment...

W duchu westchnęła: Ach, ci mężczyźni! Że też muszą wszystko komplikować!, a nieco głośniejszym głosem dorzuciła:

- Tak, rzeczywiście, wybrałaś zły moment.

- Przepraszam, nie musimy przecież rozmawiać akurat teraz - wycofał się, ale Rose mogłaby przysiąc, że w jego głosie zabrzmiała nuta rozczarowania. Rzeczywiście, nie wytrzymał i po krótkiej przerwie

dodał: - A czy mogłabyś mi powiedzieć, dlaczego ten moment jest zły?

- Ponieważ wolałabym, żebyś mnie całował, a nie py-

tal! - wyszeptała, obserwując z uśmiechem, jak rozjaśniły mu się oczy. Roześmiał się z wyraźną ulgą.

- No, myślę, że mógłbym...

Nie dała mu dokończyć, tylko pierwsza go pocałowała, o czym marzyła już chyba od tygodnia. Zareagował z równą żarliwością, natychmiast przejmując inicjatywę. Zdecydowanym ruchem strącił dzielącą ich poduszkę na podłogę i jedną ręką objął Rose w tali, a drugą przytrzymał jej głowę.

- Tak już lepiej? - spytał załamującym się głosem, całując ją w szyję.

- Mmmm! - Ten pomruk starczył za całą odpowiedź. Odchyliła głowę do tyłu, aby ułatwić mu zadanie. Delikatnie gładził jej ramiona, co spowodowało, że opadła na pluszowe pokrycie kanapy i nie stawiała oporu, kiedy przycisnął się do niej całym ciałem. Czowała dotyk jego palców na rozgrzanej skórze brzucha, jego dłonie z rozkoszną powolnością sunące w górę.

- Paul! - wyszeptała.

Zaprzestał pieszczoty, wtulając twarz w zagłębienie na jej szyi.

- Jeśli nie chcesz, żebym coś robił, to powiedz - zachęcił. W odpowiedzi przycisnęła się do niego jeszcze mocniej. Wzięła głęboki oddech i wykrztusiła:

- Nie chcę, żebyś... przestał!

W tej chwili dałaby głowę, że nawet przez skórę poczuła jego uśmiech! Jeżeli do tej pory Paul nakładał sobie jakiekolwiek ograniczenia, aby nie zranić jej uczuć - to oświadczenie spowodowało, że pękły wszelkie tamy, z czego Rose była bardzo rada. Całował ją coraz namiętniej, a ona z takim

samym zapałem przyjmowała jego pieszczoty, zarzucała mu ręce na szyję i wplatała palce w jego gęste włosy. Pomógł jej wygodniej ułożyć się na kanapie, przykrywając ją całym sobą. Nawet przez ubranie czuła emanujący z niego żar.

- Paul! - szeptała, przyciągając go do siebie.

Jakby wyczuwając jej niecierpliwość, pochylił głowę niżej, poprzez materiał bluzki chwytając wargami jej sutki. Czuła, jak kreślił językiem wokół nich kółeczka, aż wygięła się w łuk, by być bliżej jego warg. Instynktownie zacisnęła nogi, a wtedy z jego gardła wyrwał się jęk rozkoszy.

Jeszcze nigdy, z żadnym ze swoich dotychczasowych partnerów, nie zapomniała się tak dalece na pierwszej randce. Owszem, wymieniali nieraz przelotne pocałunki, prowadzili niezobowiązującą rozmowę, snuli plany związku, ale żeby aż tak... Przymknęła oczy i krzyknęła w uniesieniu, gdy Paul musnął ustami czułe miejsce w zagłębieniu za jej uchem. Z nikim jeszcze nie przeżywała tak silnych emocji. Początkowo nie zamierzała posunąć się tak daleko, przynajmniej nie tak szybko, ale teraz nie miałaby nic przeciwko temu, aby pójść jeszcze dalej.

- Paul, chciałabym... - wyszeptała.

- Ja też - odszepnął, podnosząc się na łokciu. - Tylko czy jesteś tego pewna?

- Wiem, że to brzmi głupio - przygryzła wargę - ale jeszcze nikogo nie pragnęłam tak jak ciebie. Chciałabym się z tobą kochać!

- A nie chciałabyś czegoś więcej? - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Czego na przykład?

Wyprostował się do pozycji siedzącej, nagle tak chłodny i nieobecny, że Rose poczuła się opuszczona. Także

usiadła, aby móc patrzeć mu w oczy, a wtedy posadził ją sobie na kolanach, wydając przy tym tłumione westchnienie. Okrywała jego szyję i twarz gorącymi pocałunkami, dopóki nie odsunął jej na długość ramienia.

- Ja też cię pragnę - tłumaczył. - Ale nie tylko na jeden wieczór.

Chciałbym, aby łączyło nas coś więcej niż tylko seks.

- Też bym tego chciała!

- Naprawdę? - wychrypiał głosem przepełnionym pożądaniem. Oczy mu płonęły.

- No... prawdę mówiąc, nje myślałam o tym! - Potrząsnęła głową. - To znaczy, myślałam, ale dziś wieczór w ogóle się nad tym nie zastanawiałam. Szczerze mówiąc, nie mogę się skoncentrować!

Po tym wyznaniu przycisnęła czoło do jego ramienia, czując na równi pożądanie i wstyd. Paul gładził ją po plecach, ale w końcu pocałował w policzek, ujął pod brodę i zmusił, aby popatrzyła mu w oczy.

-,To dobrze - podsumował całkiem poważnie. - Też chciałbym tak przestać myśleć, ale nie mogę, bo za bardzo cię pragnę. Wolałbym jednak, żeby między nami było coś więcej, bo wydaje mi się, że dużo nas łączy.

Przytaknęła i z pewnym zażenowaniem odsunęła się na przeciwległy koniec kanapy.

- A co, czy to zły pomysł? - dopytywał się z lękiem.

- Nie - potrząsnęła głową, choć nie bardzo wiedziała, jak powinna się teraz zachować. - Nie lubię tylko, kiedy moje ciało zaczyna myśleć za mnie.

- Mnie się to raczej podobało! - Uśmiechnął się, więc i ona zdobyła się na imitujący rozbawienie grymas. - Ale wiem, że to nie byłoby w porządku, bo wprawdzie miałbym ochotę kochać się z tobą jak jasna cholera, ale za nic

nie chciałbym, żebyś potem tego żałowała albo żeby to coś między nami popsuło.

Gładził ją po włosach i twarzy, aż przymykała oczy, rozleniwiona miłym ciepłem jego rąk.

- No a przede wszystkim nie chcę poznać twoich uczuć po to tylko, aby już więcej nie mieć sposobności cię dotknąć - dokończył.

Ona także wzdragała się na taką myśl. Zważywszy, do jakiego stanu mógł ją doprowadzić samymi pocałunkami, jak cudownie byłoby ogarnąć go sobą i czuć jedwabistą gładkość jego nagiej skóry.

- Nie przypuszczam, żeby do tego doszło - wymamrotała po chwili, z trudem dobierając słowa. - Lepiej jednak, abyś dał mi trochę czasu.

- Tak jak powiedziałem, chcę, żebyś miała pewność -powtórzył, ale w jego głosie przebijała wyraźna nuta żalu. Po chwili dodał: - Może więc dam ci na przykład pół godziny do namysłu? W tym czasie napijemy się kawy, a potem... - Na jego twarz powrócił łobuzerski uśmiech. -Potem będziemy mogli podjąć to, co przerwaliśmy.

- Mnie się nie spieszy. - Zarumieniła się na wspomnienie, jak o mało co nie obaliła go na kanapę. - Raczej wręcz przeciwnie.

- Nie rób tego! - przestrzegł z naciskiem.

- Czego mam nie robić?

- Nie zadręczaj się myślą, że nie zachowałam się jak na panienkę z dobrego domu przystało - mruknął, całując ją w czoło. - Pewnie, że mogło z tego wyniknąć coś poważnego, ale w naszych czasach seks na pierwszej randce to żaden wstyd.

- Ale ja takich rzeczy nie robię. - Z zakłopotaniem, wzruszyła ramionami.

- A gdybym chciała, nie sprawiało-

by mi różnicy, czy to pierwsza randka, czy któraś z rzędu.

- To wiesz co? - zagadnął, otaczając ją ramieniem. - Następnym razem zrobisz ze mną, co zechcesz, a ja nie będę protestował.

Przez materiał koszuli poczuł jej szeroki uśmiech.

- Tak będzie dobrze? - naciskał, trzymając ją mocno w objęciach. - W końcu nie stało się nic wielkiego.

2 tym akurat nie mogła się zgodzić. Czuła, że coś się jednak wydarzyło.

- Muszę to jeszcze przemyśleć. - Pocałowała go w podbródek. - Wydaje mi się, że wiem, ale wolałabym się upewnić.

- Tez bym tego chciał - westchnął. - Aha, Rose!

- Słucham?

Delikatnie musnął wargami jej usta.

- Tylko niech to nie trwa za długo! - poprosił.

Trzy dni później Paul siedział na patio domu swoich rodziców w San Jose, sącząc mrożoną herbatę.

- Jak się teraz czujesz, Paul? - zagadnęła go matka.

- Jak ostatni idiota - wymamrotał.

- A co się stało?

- Nic takiego. - Ostatnim tematem, który mógłby omawiać z matką, było jego życie seksualne czy raczej jego brak.

Przypomniał sobie, że w zamierzchłych czasach rezygnację ze współżycia uważano za najwyższą rycerską cnotę. Podejrzewał jednak, że niejeden średniowieczny rycerz wyśmiałby go bez litości, gdyby usłyszał, że kobiecie, która wyraźnie na niego leciała, radził czekać, aż

upewni się co do swoich uczuć. To raczej głupota niż przejaw rycerskości.

Ciekawe, co sobie myślał, kiedy wygadywał takie rzeczy? I co właściwie chciał przez to osiągnąć?

Jasne było, że zakochał się po uszy w Rose Parker, choć w głębi serca obawiał się, że ona nie podziela tych uczuć. Wolałby nigdy nie dowiedzieć się, jaka jest w łóżku, niż ryzykować, że potem powie mu coś przykrego i ucieknie.

Wstał i przeszedł do wnętrza domu. Nala wróciła już ze szpitala z noworodkiem, więc ojciec i matka pielęgowali ją, dopóki jej mąż nie wróci z wyjazdu służbowego. Paul zajrzał więc do pokoju, który teraz zajmowała jego siostra.

- Cicho, bo mała śpi! - Nala przyłożyła palec do warg i gestem zaprosiła go do środka. Podeszedł na paluszkach do łóżeczka, aby przyjrzeć się nowej siostrzenicy. Miała już pierwsze czarne włoski i spała rozkosznie, trzymając w buzi maleńki paluszek.

- Ależ ona jest śliczna! - zachwycił się, delikatnie pód» prawiając kocyk.

- Przecież wiem! - roześmiała się Nala, ściskając mu rękę na powitanie. - Kiedy wychodziłam za mąż, wydawało mi się, że nikogo w życiu nie pokocham tak, jak Minha. Jednak teraz, kiedy ją mam, nawet nie potrafię opisać, co do niej czuję.

- Cieszę się - przyznał z lekkim ukłuciem zazdrości.

- Chciałabym, żebyś i ty już wkrótce poznał, o czym mówię... - rozmarzyła się Nala.

- To nie takie proste - westchnął ciężko, siadając obok niej na kanapie. Otaksowała go spod współprzymkniętych powiek. Nagle wstała i pociągnęła go do sąsiedniego pokoju.

- Dobrze, teraz mów, co się dzieje z tą pół Wietnamką.

- Z Rose - poprawił, bo zwrot „pół Wietnamką” nagle za-

brzmiał w jego uszach jak zgrzyt. - Ona ma na imię Rose.

- Och, przepraszam. No więc, co słyhać u Rose? Na chwilę przymknął oczy.

- Właściwie nic nowego.

- To czemu jesteś taki przybity?

Że też przed Nalą nic nie dało się ukryć! W bezpośredniej rozmowie, jeszcze bardziej niż przez telefon, była uparta jak osioł i nie ustawała, dopóki nie wyciągnęła z niego oczekiwanej informacji.

- Ostatnio zastanawialiśmy się, jak ma wyglądać następny etap naszej znajomości - próbował się wykręcić.

- Podjęliście taką decyzję oboje czy to ona nalegała? - podkreśliła z naciskiem Nala. Zmarszczył brwi, więc i ona zrobiła podobną minę. - Dobrze już, nie musisz nic więcej mówić. Twoja twarz powiedziała mi wszystko. Więc nad czym ta Rose ma się jeszcze zastanawiać? A poza tym, jesteś pewien, że potrzebna ci dziewczyna, która sama jeszcze nie wie, co do ciebie czuje?

- To nie tak! - zaoponował Paul. - Przecież sama powiedziałaś, że byłem dla niej kimś w rodzaju nauczyciela. Nasze pierwsze spotkania nie miały charakteru randek, bo prosiła mnie o pomoc, ale stopniowo coraz bardziej się do siebie zbliżyliśmy. Teraz chciałbym przejść do następnego etapu, ale ona musi to jeszcze przemyśleć. Czy to tak trudno zrozumieć?

Nala zastanawiała się nad tym przez chwilę, ale nagle spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Z oburzenia aż zabrakło jej tchu.

- Paul, ty chyba nie zmuszasz tej biednej dziewczyny, żeby od razu szła z tobą do łóżka?

Poczuł, że się rumieni.

- Daj spokój, Nala.

Ona jednak, niezrażona, wzięła się pod boki i powtórzyła pytanie:

- No więc zmuszasz ją czy nie?

- O takich rzeczach nie rozmawia się z młodszymi siostrami - spróbował się jakoś wykręcić.

- Pamiętaj, że sama już jestem matką! - burknęła, wzruszając ramionami.

- Paul, ty naprawdę nie możesz...

- Ależ nic podobnego - przerwał jej w pół zdania. - Wręcz przeciwnie.

Od razu pożałował, że w ogóle otworzył usta. Niedowierzający wyraz twarzy Nali w innej sytuacji rozbawiłby go do łez, teraz jednak sprawa była zbyt poważna.

- Jeśli komukolwiek piśniesz choć słówko... - zagroził.

- Daj spokój! - rzuciła niecierpliwie. - Czy chcesz mi wmówić, że to ona chciała iść z tobą do łóżka, a ty jej odmówiłeś? Jeśli tak, to zacznę się o ciebie martwić z innych powodów!

-Ja jej bardzo pragnąłem! - zapewnił Paul, wypuszczając ze świstem powietrze z płuc. Humor Nali od razu gdzieś się ulotnił.

- Ty chyba ją naprawdę kochasz! - stwierdziła. Zastanowił się nad tym, bo właśnie przypomniało mu

się, jak Rose żartowała na temat swojej nauki o przeszłości Wietnamu.

Jak przełamywała swoją nieśmiałość na Święcie Wiosny, co skończyło się tym, że zgodziła się z nim zatańczyć. Jak reagowała na jego pocałunki i jak sama dawała mu do zrozumienia, że chce go pocałować. Niemal widział przed sobą jej uśmiech, czuł zapach jej perfum.

- No, wiesz... - wykrztusił. - Wydawało mi się, że nie mogę być tego pewien, ale teraz widzę, że sprawa jest jasna.

- A co jej się wydaje? - nagabywała Nala.

- Nie wiem i ona też chyba nie wie. Dałem jej trochę czasu do namysłu.

- Coś takiego! - Nala z zażenowaniem spuściła oczy. -I jak długo masz zamiar czekać?

- Rose pojechała teraz na przyjęcie do Nowego Jorku, z mamą i z babcią. Mam ją odebrać z pociągu na stacji Pouhkeepsie i odwieźć do domu. Powiedziałem jej, że w czasie, gdy ona tam będzie, polecę do domu, żeby zobaczyć ciebie i dziecko. Akurat dobrze się złożyło, bo dzięki temu zyska na czasie, a ja nie będę się jej naprzykrzał.

To prawda, ale sam za to cierpiał męki! Nala przyglądała mu się badawczo, aż w którymś momencie uścisnęła go serdecznie.

- A to z jakiej okazji? - spytał, oddając jej uścisk.

- A z takiej, że ten mój nieznośny, starszy brat okazał się w końcu bardzo porządnym człowiekiem! - wykrzyknęła radośnie.

- Dobrze przynajmniej, że nie powiedziałaś, że jestem miły! - uśmiechnął się szeroko. - A może byśmy coś zjedli?

Z udawanym jękiem rozpaczy Nala dała się zaciągnąć do kuchni, gdzie ich matka przygotowywała posiłek. Nie poruszali już więcej tematu Rose, ale Paul nie przestawał o niej myśleć.

Zastanawiał się tylko, czy i ona poświęca mu choć tyle uwagi?

Jeszcze tylko dwie godziny, powtarzała sobie Rose. Potem pojedę do Paula i od razu zrobi się przyjemniej.

Miała na sobie czerwone *ao-dai* - tradycyjny strój wietnamski składający się ze spodni i długiej, obcisłej sukni. Przedtem już widziała zdjęcia, na których mama

i babcia nosiły takie stroje, a teraz mogła podziwiać je w pełnej krasie.

Babcia włożyła dziś suknię ze srebrnego

jedwabiu, matka z bładoniebieskiego - mocno dopasowaną z rozcięciami na ramionach i wzdłuż boków, przez które wyglądały wąskie, białe spodnie. Ubiór Rose nie należał do najwygodniejszych, gdyż w pośpiechu krawcowa zbyt mocno go dopasowała, ale pochwały matki i źle ukrywana duma babci świadczyły, że przynajmniej tę część egzaminu zaliczyła pozytywnie.

W tej chwili jednak nie miało to dla niej znaczenia, gdyż brakowało jej Paula. Wiedziała, że poleciał na Zachodnie Wybrzeże, aby odwiedzić rodzinę, a przede wszystkim zobaczyć dziecko siostry, ale gdyby przynajmniej zadzwonił, usłyszałyby jego głos! Próbowwała więc zabić tęsknotę, koncentrując się na pracy. Zebrała już materiał do kilku biuletynów i artykułów, ale w niczym jej to nie pomogło.

Nie mogła się doczekać wieczora, żeby mieć już to wszystko za sobą. Do domu Lailu, przyjaciółki babci, dotarły na pół godziny przed czasem.

Willa, położona w ekskluzywnej dzielnicy, mogła być warta nawet kilka milionów dolarów.. W bogato urządzonej salonie kelnerzy roznosili przekąski i szampana. Babcia spoglądała na ten przepych z podziwem i z zazdrością, a Rose musiała przyznać, że i na niej zrobiło to wrażenie.

- Tylko zachowuj się przyzwoicie! - syknęła babcia scenicznym szeptem.
- Możesz na mnie liczyć - obiecała Rose. - A propos, co sądzisz o moim ao-dai?

Babcia prychnęła z przekąsem i ruszyła na poszukiwanie swojej przyjaciółki, nie widząc, jak Rose za jej plecami pokłada się ze śmiechu. Zabawne, że choć usilnie starała się wyperswadować babci próby umawiania jej z Wietnamczykami, w końcu sama postąpiła po jej myśli. Miała zamiar dać to Paulowi

do zrozumienia, kiedy tylko przyjedzie po nią na stację.

Teraz już chyba bez przeszkód będą mogli dokończyć to, co zaczęli na jego kanapie. Zdążył przecież dowieść, że nie chodzi mu tylko o seks.

Czyż inaczej odskoczyłby od niej jak oparzony akurat w chwili, gdy była, jak to się mówi, „gotowa na wszystko”? Co więcej, celowo trzymał się od niej z daleka przez tydzień, aby dać jej trochę czasu i pozwolić, by świadomie i bez emocji dokonała wyboru. Teraz, gdy zdała sobie sprawę, jak bardzo za nim tęskniła, wiedziała, że miał rację.

- O czym tak rozmyślasz, Rose? - zagadnęła ją matka, po czym rozglądając się dookoła, zadała następne pytanie: - Pewnie wciąż myślisz o tej randce? Jak ci wtedy poszło?

- Myślę, że w porządku - westchnęła Rose. - Jestem pewna, że następnym razem pójdzie lepiej, bylebym miała z głowy ten dzisiejszy wieczór. Zaraz po powrocie jestem z nim umówiona.

- Miejmy nadzieję, że to nie potrwa długo - pocieszyła ją matka.

- A jak właściwie ma wyglądać ten cały „egzamin”? - naciskała Rose. -

Czy ta przyjaciółka babci ma zadawać mi jakieś pytania? Nasz strój narodowy już mam i usiłowałam przekonać babcię, że potrafię rozpoznać większość tradycyjnych potraw, więc czego jeszcze trzeba?

- Bo ja wiem... - Matka nerwowo przestąpiła z nogi na nogę. - Nie jestem pewna...

- Rose! - zaanonsowała hałaśliwie babcia, holując za sobą kobietę ubraną w wykwintne ao-dai, bogato zdobione haftami i brylantową biżuterią. To musiała być Lailu! Teraz Rose nie dziwiła się, że stać ją na utrzymanie domu o takim standardzie. - Poznaj moją przyjaciółkę, panią Lailu Huynh. Lailu, to moja wnuczka.

- Miło mi cię poznać, kochanie - zaszczębiotała Lailu. Rose uścisnęła jej rękę, czując narastające zdenerwowanie.

- Ja również cieszę się, że panią poznałam. Dużo o pani słyszałam - wyrecytowała.

- Tak samo, jak ja o tobie. Twoja babcia koresponduje ze mną już od dłuższego czasu. To mile, że mogłam spotkać się równocześnie z nią i jej wnuczką.

Lailu mówiła poprawną angielszczyzną, tylko z lekkim akcentem, ale Rose miała wrażenie, że przez cały czas taksuje ją chłodnym okiem. Ciekawe, czy zaraz weźmie ją w krzyżowy ogień pytań, czy też sama podejmie decyzję zgodną z życzeniem babci, uznając tym samym, że Rose potrzebuje wietnamskiego męża?

- Jesteś w połowie Amerykanką, prawda? - zawyrokowała tymczasem Lailu.

- Tak, ale dobrze znam naszą kulturę, specjalnie ją studiowałam! - zapewniała skwapliwie Rose, czym wywołała grymas niezadowolenia na twarzy babci. - Nie znam jeszcze języka, ale...

- Och, nie przejmuj się tym, kochanie! - przerwała jej Lailu, spoglądając na swój wysadzany klejnotami zegarek. Mruczała przy tym pod nosem: - Gdzież on przepadł? Zwykle się nie spóźnia!

- Przepraszam, ale o kogo chodzi? - nie zrozumiała Rose.

- No, przecież o mojego syna, Johna. Nie mogę się doczekać, żeby was wreszcie ze sobą poznać.

Rose spojrzała na babcię z błyskiem gniewu i zawodu w oczach.

- Babciu... - zaczęła ostrzegawczym tonem, ale starsza dama zrobiła niewinną minkę, a potem szybko odholowała Lailu do sąsiedniego stolika.

Rose trzęsła się w środku z bezsilnej złości.

- Ona mnie okłamała! - zwróciła się do matki. - Brałam udział w tym całym cyrku, żeby ją przekonać, że nie musi troszczyć się o edukację moich dzieci, a tymczasem okazało się, że to jeden wielki pic! Chciała tylko wyswatać mnie z synem tej swojej nadzianej przyjacielki, pewnie jakimś staruchem!

- Rose! - przestrzegła ją matka.

- Jadę do domu! - oświadczyła stanowczo Rose. - Nie powinnam była w ogóle tu przyjeżdżać. Jeśli ona nie dotrzymuje naszej umowy, to wszystko mi jedno, czy się obrazi, czy nie.

- Rose, babcia chciała dobrze!

- Nie miała prawa tego robić! - oponowała Rose, czując łzy wzbierające pod powiekami. - Dlaczego nie może kochać mnie takiej, jaką jestem, albo po prostu zostawić mnie w spokoju?

Z impetem ruszyła w stronę drzwi, do garderoby, gdzie służąca zabrała okrycia gości. Po drodze jednak z rozpędu wpadła na wysokiego blondyna.

- Najmocniej panią przepraszam! - odezwał się nieznajomy głębokim głosem. - Mam nadzieję, że nic się pani nie stało?

- Ależ skąd, wszystko w porządku! - zapewniała, pospiesznie ocierając łzy.

-John!

Wprost na nich sunęła Lailu. Tuż za nią podążały babcia i matka Rose, która ze zdziwieniem patrzyła, jak wysoki blondyn wylewnie ściska drobną Lailu.

- Cześć, mamó! - przywitał ją czułym uśmiechem. -Przepraszam za spóźnienie, ale podpisanie umowy w New Jersey trochę się przeciągało, a po drodze, w tunelu, mijaliśmy wypadek. Straszny dziś ruch na drogach.

- To słaba wymówka! - zrzędziła Lailu z udawaną su-

rowością, ale w jej spojrzeniu widoczna była nieskrywana czułość. -
Widzę, że już poznałeś wnuczkę mojej serdecznej przyjaciółki.

Rose nie słuchała dalszego ciągu tego wstępu. Rozszerzonymi jak spodki oczami przyglądała się wielkoludowi ó typowo nordyckim kolorycie i rysach, czując, że za chwilę dostanie ataku śmiechu.

- Co, usiłujesz dopatrzeć się rodzinnego podobieństwa? - mruknął porozumiewawczo blondyn.

- Przecież to jasne, że John jest naszym adoptowanym dzieckiem! - obruszyła się Lailu. - Jego rodzice byli naszymi dobrymi przyjaciółmi i współnikami mojego męża. Kiedy osierocili Johna, miał dopiero osiem lat, więc zaopiekowaliśmy się nim i wychowaliśmy jak własnego syna.

Tymczasem babcia Rose zauważyła z wyraźnym niedowierzaniem:

- Ależ... on jest Amerykaninem!

Rose nie mogła już powstrzymać wybuchu śmiechu, mimo że babcia zmierzyła ją karcącym spojrzeniem. Natomiast Lailu zmarszczyła brwi z/dezaprobatą skierowaną pod adresem przyjaciółki.

- On jest *moim* synem, kochanie.

Temu już babcia nie mogła zaprzeczyć, ale kiedy Lailu zaczęła się rozwodzić nad sukcesami zawodowymi Johna i jego przywiązaniem do rodziny - w oczach starszej pani malowało się wyraźne przerażenie.

Rzeczywiście, John uosabiał wszystkie walory, jakie Rose zawsze ceniła u mężczyzn - był przystojny, zamożny, troskliwy wobec rodziny, starannie się wysławiał i miał dobrze poukładane w głowie. Jednak stanowił przy tym całkowite przeciwieństwo ideału wietnamskiego męża wypieszczonego w wyobraźni babci.

Rose doskonale wyczuwała komizm sytuacji, więc choć

wiedziała, że to brzydko z jej strony - bawiła się znakomicie.

- A ty czym się zajmujesz? - zagadnął ją John.

- Piszę na zlecenie opracowania, recenzje i artykuły, wyciągi ze stron internetowych, streszczenia biuletynów, rocznych sprawozdań różnych firm... - wyjaśniła z promiennym uśmiechem, jakby nie zauważyła grymasu babci.

- I pewnie świetnie ci idzie? No, to super! Odpowiedziała uśmiechem.

- Wiesz co? - zagadnął. - Jesteś zupełnie inna, niż się spodziewałem.

- O, widzę, że ciebie przynajmniej ostrzegły! - mruknęła pod nosem Rose. John musiał to jednak usłyszeć, bo zaśmiał się szeroko łobuzersko.

- Tak, mama uwzięła się, żeby mnie wyswatać! - przyznał, potrząsając głową. - Tym razem jednak jestem jej wdzięczny. Czy mógłbym zaprosić cię na kolację? Na przykład jutro wieczorem?

- Hm... - zawahała się, bo zaskoczył ją tą propozycją.

- Mieszkaś blisko Pleasant Valley, prawda? - kusił dalej. - Będę tam jutro w interesach i chętnie zabiorę cię do jakiegoś miłego lokalu.

Rose poczuła, że strach ściska ją za gardło. Co pomyśli Paul, jeśli ona przyjmie zaproszenie innego mężczyzny? Miała przecież zamiar chodzić z nim na poważnie!

Kiedy jednak zerknęła w kierunku stolika, przy którym siedziała babcia, dostrzegła jej przerażoną minę. Najwyraźniej podsłuchiwała propozycję Johna i wcale jej to nie zachwyciło.

Natomiast Rose uśmiechnęła się z satysfakcją. W końcu kolacja to nic wielkiego, a zde gustowana mina babci dawała przynajmniej gwarancję, że nieprędko ponowi próby ingerencji w życie osobiste wnuczki.

Paul na pewno ją zrozumie, bo nie należał przecież do takich zaborczych mężczyzn, jakich opisywała jej matka. Dał jej czas do namysłu, więc nie powinien mieć do niej pretensji, w jaki sposób go wykorzysta.

- Jutro wieczorem? - powtórzyła z szerokim uśmiechem. - Chętnie, dlaczego nie?

Paul siedział w swoim samochodzie i czekał. Był maj, a wszystko wskazywało, że po stosunkowo chłodnej wiosnie szybko nadejdzie gorące i wilgotne lato. Wieczór zapowiadał się jeszcze gorętszy, byleby tylko wszystko poszło zgodnie z planem!

Spojrzał na zegarek. Pociąg musiał już przyjechać, więc za kilka minut Rose znajdzie się w jego samochodzie, a niewiele później - w jego ramionach, jeśli, oczywiście, wszystko ułoży się tak, jak zaplanował. Od czasu wspólnej kolacji jeszcze z nią nie rozmawiał. Pewnie ma już z głowy ten głupi „egzamin”, a teraz myśli, co będą dalej robić. Miał nadzieję, że jej wizja odpowiada jego wyobrażeniom w tym względzie i że w perspektywie mają przed sobą coś więcej niż korepetycje z historii. Kurczowo ścisnął kierownicę. Sądząc po tym, jak Rose zachowywała się na jego kanapie, ona też myśli o czymś więcej. Nie chciał wprawdzie wywierać na nią nacisku, ale naprawdę nie mógł się już doczekać! Tymczasem Rose pukała już do jego okna. Przywitał ją uśmiechem, podczas gdy żołądek podszedł mu do gardła. Otworzył drzwi od jej strony, a zanim zajęła miejsce, miał mniej więcej minutę, by docenić jej ciemnoczerwone ao-dai, bo potem zamknęła drzwi i w samochodzie zrobiło się ciemno.

Chciał ją pocałować, ale najpierw wolał poznać wynik „egzaminu”.

- No i jak ci poszło? - spytał ostrożnie.

- Nie uwierzyłbyś! - opowiadała żywo i z błyskiem w oku, podczas gdy włączył silnik i wyjeżdżał z parkingu. - Ta przyjaciółka mojej babci jest nieprzyzwoicie nadziana. Jej mąż jest biznesmenem i zajmuje się handlem hurtowym lub czymś w tym rodzaju...

Paul słuchał tej radosnej paplaniny i udawał zainteresowanie, ale wszystko wydawało mu się nieistotnymi szczegółami. Naprawdę chciał znać odpowiedź tylko na jedno pytanie - czy Rose zgodzi się chodzić z nim na poważnie. Starał się być cierpliwy, ale przecież każda cierpliwość ma granice.

- ... i okazało się, że babcia wcale nie przywiozła mnie tam po to, aby sprawdzić moją znajomość kultury wietnamskiej! - Rose w końcu doszła do konkluzji, więc Paul czujnie nadstawił uszu.

- Jak to? - Kątem oka dostrzegł jej triumfalny uśmiech. - W takim razie po cholere była ci potrzebna ta cała nauka?

- Okazało się, że równie dobrze mogłam niczego się nie uczyć. To był jeden wielki pic! - Dziwne, ale wcale nie sprawiała wrażenia zmartwionej. Co więcej, po chwili z satysfakcją dorzuciła: - A raczej kolejna randka w ciemno!

Paul zjechał właśnie z szosy stanowej na podjazd do domu Rose. Miał złe przeczucia.

- Co przez to rozumiesz? - uściślił.

- Babcia wcale nie chciała, żeby Lailu przepytowała mnie z historii

Wietnamu. Do dziś nie wiem, jak mogłam się na to nabrać! -

zachichotała. - Chciała tylko zapoznać mnie z jej synem i doprowadzić do tego, żebym się z nim umówiła!

Paul poczuł, że przechodzą go ciarki.

- Dziwię się, że tak spokojnie o tym mówisz - skomentował obojętnie.
- Na początku byłam wściekła - wyznała Rose, a Paul odetchnął z ulgą, lecz nie na długo, bo usłyszał ciąg dalszy - dopóki nie poznałam tego jej syna.

- A wtedy... - podsunął Paul, starając się patrzeć na szosę tak uważnie, jakby od tego zależało jego życie.

- Słuchaj, można boki zrywać... Czekał, skręć tutaj - wskazała mu uliczkę wiodącą do jej domu. - A wiesz, co się potem okazało? Że ten jej niby syn nie jest nawet Wietnamczykiem, bo ona go *adoptowała*. Wygląda jak Wiking z plakatu, wysoki blondyn z niebieskimi oczami!

- To twoja babcia musiała się nieźle zdziwić! - skomentował Paul z wymuszonym uśmiechem.

- Jeszcze jak, o mało nie udławiła się sztuczną szczęką! - zaśmiewała się Rose. - Wiem, że to brzydko z mojej strony, ale ona nie powinna była mnie oszukiwać i naprawdę mogłaby dać już sobie spokój z tymi swatami!

Paul podjechał właśnie pod dom. Wyłączył silnik i zwrócił się wprost do niej:

- Czyli że masz to wszystko poza sobą, tak?

- Coś w tym rodzaju - uśmiechnęła się szeroko, odpinając pas. - Jeszcze tylko umówiłam się z nim na jutro na kolację. Potem mam nadzieję, że babcia da mi wreszcie spokój, bo przecież dotąd robiłam to, czego chciała.

Paul poczuł się tak, jakby dostał pałką w głowę.

- Zaraz, co zrobiłaś? - zapytał ze złością. Wystarczył rzut oka na jego minę^ a doskonały humor

Rose zniknął jak zdmuchnięty.

- Och, przepraszam cię, Paul, na pewno pomyślałeś sobie coś strasznego. Wydawało mi się, że to zrozumiesz...

- Jak to, umawiasz się na kolację z innym facetem i wy-

magasz ode mnie, żebym to zrozumiał? - wycedził niedowierzającym tonem.

- Ależ to naprawdę nic wielkiego! - Zmarszczyła czoło, usiłując dociec, co właściwie wyprowadziło go z równowagi.

- Jeśli to dla ciebie nic wielkiego, możesz odwołać to spotkanie - zażądał ostro.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- A wyglądam na żartownisia? - odparował. Przez chwilę oboje siedzieli w milczeniu.

- Może nie wyraziłam się jasno? - Rose próbowała dalszych tłumaczeń. - Przecież to tylko jedna kolacja, nic poważnego. Nie mam wobec niego żadnych zobowiązań.

- Zacząłem już się zastanawiać, czy w ogóle możemy mówić o jakichś zobowiązaniach - burknął ponuro Paul. - Rose, myślałem, że między nami coś się zaczęło.

- Ależ oczywiście! - zamrugala powiekami. - Co ma z tym wspólnego...

- Ma to, że nie chcę, abyś chodziła na kolacje z obcymi facetami.

- Paul, nie jesteś chyba zazdrosny?

- A założymy się?

- Niemożliwe! - wybuchnęła, otwierając z trzaskiem drzwi samochodu. Paul podążył za nią i słyszał, jak idąc nieoświetlonym korytarzem powtarzała:

- Nie, po prostu nie mogę w to uwierzyć!

- A jak, według ciebie, mam się czuć? - zapytał, kiedy ją dogonił.

- Na tydzień wyjechałem z miasta, żeby dać ci czas do namysłu, a ty tymczasem umowiłaś się na randkę z kim innym! Co mam o tym myśleć?

- Sądziłam, że mi ufasz - przekonywała. - I że zrozu-

miesz, że to nic poważnego. Przecież spotkam się z nim tylko raz, i to publicznie, w jakimś lokalu.

- A czy między nami jest coś poważnego? - podchwycił, czując, jak powoli ogarnia go gniew. - Owszem, ja traktuję cię poważnie, do tego stopnia, że jeśli chcesz spotykać się ze mną, nie życzę sobie, żebyś jednocześnie umawiała się z innymi!

Zatrzymała się gwałtownie, oczy płonęły jej gniewem.

- Czy to ma być ultimatum - wycedziła - czy zwykła pogrożka?

- Zostawiam ci wybór - odparował Paul. - I lepiej zdecyduj się od razu, bo tym razem nie dam ci tygodnia do namysłu.

- Taki z ciebie wzór cierpliwości? - zasztydziła. - Oj, Paul, myślałam, że znasz mnie lepiej.

- Ja też myślałem, że znam cię lepiej.

- Jeśli tak, to powinieneś wiedzieć, że nie znoszę, kiedy się mnie do czegoś zmusza, bez względu na to, kto to robi.

- A ja nie znoszę, kiedy traktuje się mnie jak zabawkę. - Założył ręce na piersiach. - No więc co nam pozostaje?

- Jeśli chodzi o mnie, to pozostaje mi tylko podziękować ci za podwiezienie - wyszeptała. - Aha, i jeszcze powiedzieć ci, że nie mam zamiaru więcej się z tobą widywać.

Poczuł ucisk w gardle, ale tylko zacisnął zęby.

- Tylko tyle? Nie powiesz mi nic więcej?

- Dobranoc, Paul. - Otworzyła kluczem mieszkanie, weszła do środka i zatrzasnęła drzwi. On zaś przez chwilę stał jak zamroczony, powtarzając sobie w myśli: Nie tak miał wyglądać ten wieczór!, a potem wrócił do samochodu i ruszył w drogę do domu. Nie tak dawno jeszcze myślał, że spędzi z tą dziewczyną upojną noc i nigdy się z nią nie rozstanie, a tymczasem został na lodzie - sam, a do tego wściekły.

A więc spotykała się z innym mężczyzną i mało tego nie widziała w rym nic niestosownego! Najwyraźniej nie była dla niego odpowiednią partnerką, jak mu się początkowo wydawało. Przecież sama mówiła, że nie umawia się z Azjatami! Był jej potrzebny tylko po to, żeby zrobić na złość nadopiekunczej babci, a kiedy już ją splawiła - uznała, że może spokojnie wybrać się na randkę z jasnowłosym amerykańskim dryblasem. A od niego żądała, żeby to zrozumiał! Dobrze więc zrobił, że w porę się z nią rozstał. Przynajmniej sprawa wyjaśniła się na tyle wcześnie, że nie zdążył popełnić większego błędu. Zgrzyając zębami i dźwignią zmiany biegów, nacisnął pedał gazu. Zastanawiał się przy tym dlaczego jest mu tak cholernie przykro? Rose spotkała się z Johnem w małej, włoskiej knajpce wśród wysokich drzew w Wappingers Falls. Przy drinkach i przystawkach spokojnie słuchała, jak chwalił się swoimi sukcesami zawodowymi. Chociaż tak naprawdę puszczała wszystko, co mówił, mimo uszu, bo myślała o Paulu. Jak on to powiedział? Jeśli chcesz spotykać się ze mną, nie powinnaś umawiać się z innymi. Nie przypuszczała, że siedzi w nim taki egoista i zazdrośnik, choć teraz dziwiła się, że nie zauważyła tego wcześniej. Przestraszyła się nawet tej złości w jego głosie! Zgoda, prosił ją, żeby zaczęli się spotykać na poważnie, ale nie doszli jeszcze do tego etapu. Miała zamiar powiedzieć mu, że się na to zgadza, ale najpierw chciała uraczyć go zabawną historyjką z jej babcią, Lailu i Johnem w rolach głównych. A on- jak na to zareagował? Jak typowi wietnamscy mężczyźni w opo-

wieściach matki - apodyktyczni i zaborczy, żądający dla siebie wyłączości. Jeszcze tydzień temu zapewniał ją o swojej cierpliwości, a tak niewiele było trzeba, by ujawniło się u niego dokładnie to, czego najbardziej się obawiała i przed czym przestrzegała ją matka.

I pomyśleć, że absolutnie na takiego nie wyglądał! Jak mogła być tak ślepa?

Jednak tęskniła za nim, a raczej za tym cierpliwym, pełnym ciepła mężczyzną, którego pokochała.

Zaraz, czyżby rzeczywiście zakochała się w Paulu? Z przerażenia aż zamrugła oczami, zastanawiając się przy tym, dlaczego w takim razie siedziała przy kolacji z zupełnie obcym człowiekiem.

John tymczasem tokował w najlepsze:

- ... więc powiedziałem mamie, że musimy rozszerzyć nasze kontakty z przedsiębiorcami w Sajgonie, szczególnie teraz, kiedy coraz bardziej otwierają się granice. Prace przygotowawcze prowadzimy już od lat...

- Czy mogę o coś cię zapytać? - przerwała mu Rose.

- Możesz pytać o wszystko, co zechcesz. - Uśmiechnął się.

- Jak byś zareagował, gdyby dziewczyna, z którą chodzisz, powiedziała ci, że zamierza się spotykać także z innymi mężczyznami?

- Czy to tylko pytanie, czy ostrzeżenie? - Wyglądał na zaskoczonego.

Przez dłuższą chwilę mierzyła go wzrokiem, zanim odpowiedziała:

- Och, to tylko takie pytanie.

Nie potrzebowała go przed niczym ostrzegać, bo miała pewność, że więcej się z nim nie umówi. Zgodziła się na to jedno spotkanie, bo chciała postawić na swoim, ale zdecydowanie ten chłopak nie był w jej typie.

- Hm... - Zastanawiał się nad odpowiedzią. - Myślę, że to by zależało, jak bardzo bym ją lubił.

Rose od razu przypomniała sobie błysk w oku Paula, gdy się całowali; czułość, z jaką odgarniał jej włosy z twarzy; wysiłek, jaki włożył w przygotowanie posiłku specjalnie dla niej i czas, jaki poświęcał na jej „doksztalcanie”...

- Dajmy na to, że bardzo - podsunęła.

- Na pewno byłoby mi przykro.

- Ale nie przestałbyś się z nią widywać? Na to pytanie zareagował śmiechem.

- Raczej nie, przynajmniej dopóki nie ustalilibyśmy, że jest tylko moją dziewczyną.

- Otóż to właśnie! - podchwyciła Rose, wprowadzając Johna w widoczne zakłopotanie. - Tak się powinno postępować. Nie zrobiłbyś jej awantury, nie stawiał żadnego ultimatum ani nie żądał zerwania z tamtym?

- Oczywiście, że nie - zapewnił John.

Rose uśmiechała się triumfalnie, dopóki nie dokończył swojej myśli:

- Oczywiście, ona też musiałaby zdawać sobie sprawę, że i ja będę postępował podobnie.

-Jak to? - Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy Rose.

- No, chyba tak jest sprawiedliwie, prawda? - wyznał szczerze. - Gdyby ona widywała się z innymi mężczyznami, dlaczego ja nie miałbym robić tego samego z innymi kobietami? Jak długo nie pozostajemy w stałym związku, trudno, żebyśmy siedzieli z założonymi rękami, podczas gdy ona będzie flirtowała z każdym, kto się jej nawinie!

Rose poczuła lodowaty ucisk w żołądku. Czyżby to oznaczało, że i Paul spotykał się z inną kobietą?

A więc Paul miał rację. Tak bardzo zależało jej, żeby dać nauczkę babci, że wręcz żądała od niego wyrozumia-

łości, nie zadając sobie trudu, aby spojrzeć na sprawę z jego punktu widzenia.

Wiedziała już na pewno, że go kocha. Gdyby więc wyznał jej, że z jakiegokolwiek powodu spotyka się z inną kobietą, może usiłowałyby to zrozumieć, ale sama myśl o tym nie dałaby jej spokoju. Znając swój wybuchowy temperament, pewnie nagadałaby mu do słuchu tak samo, jak on jej!

Zapowiedziała mu, że nie będzie się z nim więcej widywać, więc niby dlaczego nie miałby próbować znaleźć innej, bardziej wyrozumiałej kobiety?

W jednej chwili cała krew odpłynęła jej z twarzy.

- Ej, co z tobą? Dobrze się czujesz? - zaniepokoił się John.

- Wiesz, jakoś mi niedobrze - odpowiedziała Rose słabym głosem. - Muszę jechać do domu.

- Cóż, w takim razie pewnie przełożymy naszą kolację na inny termin - zgodził się skwapliwie, choć nie ukrywał zdenerwowania.

Rose potrząsnęła głową.

- To. miłe z twojej strony, ale obawiam się, że nie będę mogła już się z tobą umówić.

- A dlaczego? - wyglądał na zupełnie zbitego z tropu.

- Ponieważ kocham innego - oświadczyła, wstając, a w duchu pomyślała: I miejmy nadzieję, że tym razem nie popełniłam największego błędu w życiu!

Paul siedział w domu przed telewizorem z puszką piwa w ręku. W ośrodku kultury wietnamskiej odbywało się akurat przyjęcie i po raz pierwszy w dwuletniej historii tej instytucji zdarzyło się, aby Paul opuścił taką imprezę. Zadzwoił nawet do pracy, usprawiedliwiając swoją nieobecność chorobą.

- Źle się czujesz, kochaniutki? - zaniepokoiła się pani Nguyen. Musiał przyznać, że istotnie czuł się kiepsko, choć nie było to przeziębienie ani grypa. Miał po prostu fatalny nastrój.

- No to bądź zdrow! - pożegnała go po wietnamsku, wyrażając nadzieję, że wkrótce poczuje się lepiej. Sam też sobie tego życzył i pewnie udałoby mu się to osiągnąć, gdyby tylko mógł przestać myśleć o Rose.

Raz po razie analizował odpowiedź, jakiej jej udzielił. Przeżywał od początku tę samą scenę i ból, jaki mu sprawiła, opowiadając, że umówiła się z innym mężczyzną na kolację i wymagając od niego, aby to zrozumiał.

Pluł sobie w brodę, że mógł być takim idiotą. A już myślał, że odnalazł wreszcie swój ideał! I oto okazało się, że pod każdym względem grubo się mylił.

A może jednak Rose miała rację?

Prawdę mówiąc, niczego mu nie obiecywała. Nie zdążyła nawet jasno powiedzieć, czy ma ochotę na stały związek. Wszystko więc było jeszcze przed nim, a on błędnie zinterpretował jej stanowisko i żądał deklaracji, której nie miał prawa wymagać! Przez swoją niecierpliwość zwyczajnie ją spłoszył. A tak może zdołałaby go pokochać?

Popijając piwo rozmyślał, że pewnie już nigdy się tego nie dowie...

Ponure rozważania przerwał mu dzwonek do drzwi. Niechętnie więc podniósł się z kanapy, modląc się w duchu, żeby nie był to nikt z pracowników ośrodka. Jutro miał zamiar wrócić do pracy, przygotowany na pytania kolegów i ich dobre rady. Teraz zaś pragnął po prostu zostać sam. Jednak kiedy otworzył drzwi - zdziwienie odebrało mu mowę.

W progu stała Rose!

- Cześć, mogę wejść?
 - Ależ oczywiście! - bąkał, kompletnie osłupiały. - Proszę, wchodź!
 - Dziękuję - odpowiedziała, wchodząc do środka. Zauważył, że miała na sobie krótką, czarną sukienkę, w której wyglądała oszałamiająco.
 - A myślałem, że poszłaś z kimś na kolację? - zaczął, ale zaraz urwał, bo jeśli chciał ratować sytuację, nie wybrał najlepszej drogi.
- Tymczasem Rose lekko się zarumieniła i patrząc w podłogę, wyjąkała:
- Już byłam...
 - Och, przepraszam... - Natychmiast się jednak zreflektował i poprawił: - To znaczy, przyznaję, że byłem na ciebie zły, 'bo nie chciałem, abyś poszła na tę kolację. Tego wcale nie żałuję.
 - Paul, chciałam ci powiedzieć... - zaczęła, potakując jego słowom.
 - Proszę cię, daj mi skończyć! - Chwycił ją za rękę. - Posłuchaj, jeśli potrzebujesz więcej czasu, ja poczekam. Oczywiście, nie przyjdzie mi to łatwo i na pewno nie będę czekał po wieczne czasy, ale za bardzo mi na tobie zależy, by cię stracić. Myślę, Rose, że jesteśmy dla siebie stworzeni i z czasem na pewno przyznasz mi rację.
- Jednak gdy spojrzał na nią, zauważył, że jej oczy zamglily się łzami.
- Co się stało? - spytał z niepokojem.
 - Nie potrzebuję czasu - odpowiedziała cicho.
- Na początku sądził, że się przesłyszał, ale nadzieja już wstąpiła w jego serce.
- Co przez to rozumiesz? - zapytał dla pewności.
 - Zachowałam się względem ciebie tak, jakbyś był na-

trętny i nietaktowny jak moja babcia - wyjaśniła. - Nie spojrzałam na sprawę tak, jak należało. Dopiero potem zaświtało mi w głowie, że gdybyś to ty umówił się na kolację z inną kobietą, zrobiliby mi się bardzo przykro.

- Naprawdę?

- Szczerze mówiąc, wkurzyłabym się jak diabli! - wyznała otwarcie, co go rozśmieszyło. - Dopiero wtedy zrozumiałam, dlaczego zachowałeś się tak, a nie inaczej.

Potakująco skinął głową.

- Mimo to jednak - podjęła - nawet przy najlepszych chęciach, nie lubię, kiedy ktoś mnie do czegoś zmusza.

- Wiem i bardzo mi przykro.

Stali naprzeciwko siebie przez jakąś minutę, aż w końcu Rose podniosła na niego oczy pełne łez.

- Czy mógłbyś mnie przynajmniej przytulić? - poprosiła. W jednej chwili porwał ją w ramiona i oboje zaczęli obsypywać się niecierpliwymi pocałunkami.

- Tak mi przykro, tak mi przykro... - szeptał Paul w jej włosy.

- Mnie też! - wymruczała. - Kocham cię!

- Że co? - nie wierzył własnym uszom.

- Może za wcześnie ci to mówię - westchnęła. - Ale teraz już wiem, że od dawna cię kochałam, tylko nie zdawałam sobie z tego sprawy. Dopiero dziś wieczorem uświadomiłam sobie, dlaczego mi na tobie zależy. Po prostu jestem w tobie zakochana!

Zamilkła, czekając na jego reakcję.

- Kocham cię, Rose - oświadczył uroczyście, całując ją w usta.

Wśród miłosnych wyznań zaniósł ją do sypialni i rozebrał z sukienki, podczas gdy ona pomogła mu pozbyć się dzinsów i kosasali. A potem już czuł pod sobą gładką je-

dwabistość jej skóry, słuchał urywanych szeptów i cichych jęków, gdy wzmagala się namiętność.

- Kocham cię! - szeptała wprost w jego wilgotną skórę.

- Ja cię też kocham! - zapewnił, przymulając ją mocno do siebie.

Z błógiego rozleniwienia wyrwał go ledwo dosłyszalny brzęczyk dzwonka, więc zrobił zdziwioną minę.

- O, kurczę! - zakłęła Rose, sięgając na drugą stronę łóżka, dzięki czemu Paul mógł zobaczyć w całej okazałości jej nagie plecy. Przyciągnęła torebkę i wyjęła z niej telefon komórkowy. Spojrzała na numer, który pokazał się na wyświetlaczu i z ociąganiem odebrała, mówiąc: - Cześć, mammo!

Paul widział, jak przytakiwała słowom dochodzącym z drugiego końca linii, a następnie przymknęła oczy. Słyszał głos matki Rose, ale nie rozumiał tego, co mówiła. Uśmiechnął się natomiast, słysząc odpowiedź Rose, przytulonej do jego piersi:

- Przepraszam, że tak długo nie dzwoniłam, ale jakoś zatraciłam poczucie czasu. Skądże, nie chciałam cię martwić.... Że co? Babcia chce ze mną mówić? - Podniosła oczy na Paula, który wzruszył ramionami. - Czy nie mogłaby poczekać do jutra? No dobrze, ale tylko chwileczkę, bo jestem zmęczona.

- No, nie taka znów zmęczona! - szepnął jej do ucha Paul, na co Rose uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Jeszcze nie skończyliśmy!

W odpowiedzi pokazała mu język.

- Cześć, babciu. Skądże, nie jestem na ciebie zła. -Przez chwilę milczała, słuchając, po czym uśmiechnęła się szeroko. - Dobrze, już dobrze, nie gniewam się. Wiem, że chciałybyś znaleźć dla mnie jak najlepszego partnera, ale obiecaj mi, że więcej nie będziesz mnie swatać, dobrze?

Słysząc było, że babcia niechętnie udziela odpowiedzi, ale napięcie między Rose wyraźnie zelżało.

- Dziękuję ci, babciu. Bardzo się cieszę. - A po krótkiej przerwie dodała: - Ale to nie znaczy, że mam zamiar zostać starą panną albo spotykać się tylko z tyczkowatymi gumożujami!

Paul stłumił chichot, chowając twarz w poduszkę.

- I wiesz co, babciu? W niedzielę chciałabym przyprowadzić kogoś na obiad... Kogoś bardzo ważnego! - Tu podniosła oczy na Paula, ściskając jednocześnie jego dłoń. -Może tak być? To świetnie. W takim razie niedługo pogadamy. Kocham cię, babciu!

Wyłączyła komórkę, położyła ją na szafkę nocną i popchnęła Paula z powrotem na łóżko.

- No, toś wpadł - oznajmiła. - W niedzielę poznasz osobę, która wrobiła cię w to wszystko.

- A wiesz, że nawet polubiłem twoją babcię? - odparował. - W końcu, gdyby nie ona, nie poznałbym ciebie!

- Tak, ale teraz, gdy przedstawię cię rodzinie, ona nie popuści, dopóki się ze mną nie ożenisz! - uśmiechnęła się Rose.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował, czując dreszcz emocji. Perspektywa spędzenia reszty życia u boku kobiety, którą kochał bardziej niż kogokolwiek na świecie, wydała mu się bardzo kusząca.

- Też na to liczę! - oznajmił i pocałował ją jeszcze raz.